

zwracając na nie żadnej uwagi. Pomyśl wziął się z opowiadania "Kłozet - babcia" Leszka Szymańskiego. Babcia kłozetowa z publicznego szaletu miała mistyczne widzenie. Los takiej osoby wydawał mi się kwintesencją szarzyzny i monotonii codziennego życia. Nikomu nigdy nie przyszłoby na myśl przyglądać się siedzącej nad żalonym spodkiem z monetami staruszcze o twarzy bez wyrazu, ze wzrokiem wbitym w pustkę. Któż mógłby przypuszczać, że życie tej kobiety było pełne napiętności i dramatów. Taka była geneza filmu "Gdy spadają anioły". Miała dać widzom wrażenie rozmachu, mimo że nie powinna przekraczać dwudziestu minut. Nade wszystko chciałem nadać mu romantyczny niemal, barokowy styl, na krawędzi kiczu, tak aby publiczność odebrała tę historię jako sen na jawie kobiety u schyłku życia. Normą w etiudach Polańskiego stała się kolista forma narracji, tak było też w przypadku "Gdy spadają anioły" nawet gdy tak jak w tym przypadku stanowi ona tylko pewien zabieg, wygodny sposób na rozpoczęcie i zakończenie opowieści, zaczyna nabierać znaczenia poprzez to, że są powtarzane ujęcia.

Albo na stronie Instytutu Adama Mickiewicza:

1958 GDY SPADAJĄ ANIOŁY (etiuda fabularna na podstawie opowiadania Leszka Szymańskiego "Kłozet babcia", dyplomowy film Polańskiego). Stara kobieta, babcia kłozetowa (w tej roli Roman Polański) wspomina swoje życie podczas przybytek, w którym pracuje, odwiedzają klienci. Daleka od romantyzmu teraźniejszość, zdarta z retrospekcjami o pełnej romantycznych porywów przeszłości, pełnej malwy ułanów, "malowanych chłopców" podjeżdżających pod okienko. Ilustrowany archetypicznymi obrazami, stylizowanymi na obrazy m.in. Kossaka, Grottgera, Malczewskiego, odpustowe obrazki. Ironiczny film, kpiący z podniosłego tonu "szkoły polskiej".
<Jak wyzej o "Dwaj Ludzie z Szafa"

Tamże:

1958 DWAJ LUDZIE Z SZAFĄ. Dwaj tragarze niosą szafę z lustrem. To pretekst do pokazania rozmaitych scenek okrutnych i szokujących, czasem zabawnych. Pomyśl szafy z lustrem inspirowany bez wątpienia filmem Franciszki i Stefana Themersonów PRZYGODY CZŁOWIEKA POCZWIĘGO z 1937 roku. (Nagrody: 1958 - Bruksela, Międzynarodowy Konkurs Filmów Eksperymentalnych - III nagroda; San Francisco, MFF - Nagroda Specjalna za twórczość eksperymentalną; Warszawa, Festiwal Etud PWSFTvIT - nagroda "Filmu" za reżyserię; 1959 - Oberhausen, MFFK - Dyplom honorowy; 1960 - Montevideo, MFF Dokumentalnych i Eksperymentalnych - I Nagroda).

Ponadto:

<http://www.komedie-art.pl/gb-vl...php>

Roman Polański o filmie "Gdy spadają anioły":

Pomyśl wziął się z opowiadania "Kłozet babcia" Leszka Szymańskiego. Babcia kłozetowa z publicznego szaletu miała mistyczne widzenie. Los takiej osoby wydawał się kwintesencją szarzyzny, monotonii codziennego życia. Nikomu nigdy nie przyszłoby na myśl przyglądać się siedzącej nad żalonym spodkiem z monetami staruszcze, o twarzy bez wyrazu, ze wzrokiem wbitym w pustkę. Któż mógłby przypuszczać, że życie tej kobiety było pełne napiętności i dramatów? (...)

Myslałem o wyszukanej dekoracji w stylu secesyjnym, zwróciłem się więc do studenta krakowskiej ASP, Kazimierza Wiśniaka, którego prace znałem i wysoko ceniłem. Wspólnie zaprojektowaliśmy szalet, zrobiliśmy gipsowe odlewy fajansowych pisuarów z końca XIX wieku i postawiliśmy całość w naszym szkolnym studiu. Wzorowaliśmy się na pisuarach znajdujących się pod Sukiennicami w Krakowie. Nasz szalet miał sufit z malowanych szarych kafli, ułożonych na poziomie chodnika. Właśnie przez ten sufit, spod ziemi, można było oglądać przetaczającą się górą falę ludzkich istot, słyszeć stukot anonimowych kroków. [Roman Polański -

scenariusz Roman Polański zdjęcia Henryk Kucharski muzyka Krzysztof Komeda na podstawie: "Kłozet Babcia" minipowiadanie L. Szymańskiego czas trwania: 22

Czarno-biały film dyplomowy Polańskiego, który w tym czasie był zafascynowany twórczością S. Becketta, E. Ionesco i H. Pintera. Film opowiada o babci Kłozetowej, która w szarym i nieromantycznym miejscu swej pracy wspomina młodość, ponadto reżyser pokazuje barwne wiejskie życie, ciekawie ujęta pierwsza miłość, oraz uianów - wszystko zestawione z ponurą rzeczywistością. Cechą wspólną etud szkolnych Polańskiego była groteskowa wizja świata pomieszana z życiową powagą i prawdą włącznie z swoistym ujęciem problemu homoseksualizmu - tu w sposób śmieszny i ośmieszający. W filmie pojawia się z pierwszą żoną B. Kwiatkowska-Lass. Film trudny i zrozumiały i zmuszający do refleksji. Warto obejrzeć, choćby dla lepszego zrozumienia późniejszej "kolorowej" twórczości Polańskiego.

Polański wspomina. Tematem miało być nudne na pozór życie jednej z tych osób, które mijamy, nie



ROMAN POLAŃSKI

Leszek Szymański

Kłozet Babcia AKA Gdy Spadają Anioły

Reżyser filmowy i teatralny, scenarzysta, aktor, producent filmowy. Urodził się w Paryżu.

Do Polski przyjechał w wieku lat trzech. W czasie wojny z powodu żydowskiego pochodzenia znalazł się w krakowskim getcie. Po 2 latach uciekł i ukrywał się. Matka zginęła w obozie koncentracyjnym. Od 1948 jako kilkunastoletni chłopiec w przedstawieniach dla dzieci w teatrze radiowym i na scenie. Od roku 1953 za w filmie.

Studiował reżyserię filmową na PWSF w Łodzi. W 1959 zrealizował film dypl. nie napisał jednak pracy i formalnie dyplomu nie uzyskał. W czasie studiów zrealizował kilka etud i filmów krótkometrażowych, w tym głośny film DWAJ LUDZIE Z SZAFKI. Debiutował pełnometrażowym NOŻEM W WODZIE. Po nieprzyjaznym przyjęciu przez władze wyjechał na stałe z Polski. Od 1964 tworzy filmy w Europie, od 1965 w USA. Amerykę opuścił w 1969, po zamordowaniu przez sektę Mansona jego dr żony Sharon Tate. Powrócił tam w 1974, ale wkrótce - oskarżony o uwiedzenie nieletniej - schronił się w Europie. Tu tworzy kolejne filmy i spektakle teatralne (pracy w teatrze powrócił w latach 70.). Chętnie grywa w filmach - własnych oraz reżyserów, występuje i reżyseruje na scenie, bywa producentem filmowym.

Wielokrotnie nagradzany, także za całokształt twórczości filmowej, m.in.:

- 1993 "Złoty Lew" na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji
- 1999 nagroda "Felix" (Europejska Nagroda Filmowa); Złote Berto - Nagroda Fundacji Kultury Polskiej; World Achievement Award;
- 2003 "Orzeł" - Polska Nagroda Filmowa - za osiągnięcia życia.

W 1999 został członkiem Francuskiej Akademii Sztuk Pięknych, w 2000 otrzymał doktorat honoris causa PWSFTviT w Łodzi, został honorowym obywatelem teg

To był bunt obyczajowy

Rozmowa ze

ZBIGNIEWEM JERZYNA



Stanisław Grochowiak i Zbigniew Jerzyński

PIOTR DUMIN: Debiutowałeś w prasie literackiej w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Był to okres konsolidowania się najmłodszego pokolenia pisarzy okres formowania się pisma „Współczesność”. Jak wspominasz swoje osobiste kontakty z tym pismem i pisarzami „pokolenia 56”? Jak teraz, po latach, widzisz znaczenie cezury roku 1956, jej wpływ na sytuację w środowisku literackim?

ZBIGNIEW JERZYŃSKI: Pamiętam, że tuż po maturze w 56 roku zawędrowałem na Lu-

dną do mieszkania Leszka Szymańskiego, które było pierwszą siedzibą redakcji. Zamieściłem tam swoje wiersze. Szymański wziął moje utwory zaznaczając że honorarium nie otrzymam. Chciałem tu przeciwstawić się wielu dzisiejszym wypowiedziom, w których zarzuca się „legendarnemu” założycielowi „Współczesności” i pierwszemu jej redaktorowi naczelnemu, że był hochsztaplerem. Jest to być może półprawdą, bo przede wszystkim był to heroiczny zabiegacz o powstanie tego pisma. Gdyby nie jego szlachetna bezczelność, prawdopodobnie losy tej generacji

czasy (niedługo minie 50 lat od założenia „Współczesności”). Planuję użycie w filmie także wyjątków ze znanego filmu Romana Polańskiego p.t. „Gdy spadają anioły”, który powstał na podstawie opowiadania Leszka Szymańskiego p.t. „Klozet babcia”, drukowanego w jednym z pierwszych numerów pisma.

„Współczesność – mit pokolenia”, czy znajdziemy na to potwierdzenie?, czy w wyniku filmu okaże się, że była to tylko manipulacja władz, które chciały ująć rzeczywisty bunt młodych pisarzy w kontrolowane przez siebie koryto?

Mam nadzieję, że film odpowie na te pytania i równocześnie uchroni od zapomnienia ciekawe zjawisko z połowy tego wieku w Polsce jakim była „Współczesność”.

Myszę, że warto o tym zrobić film.

zwany guru „Współczesności”, który zakładając pismo miał zaledwie 23 lata, kierował nim przez dwa lata, a później wyjechał do Indii na stypendium Parnickiego i ślad po nim zaginął.

Dotarłem do pana L.Szymańskiego, który obecnie mieszka w Kalifornii i który wyraził zgodę na obszerną rozmowę i wyjaśnienie wszystkich okoliczności powstania „Współczesności”.

Żyją także pierwsi redaktorzy, autorzy i współtwórcy pisma, Aleksander Wieczorkowski, poeta Roman Śliwonik, Ernest Bryll i wielu innych. Myślę, że mają oni wiele do powiedzenia o motywach i intencjach, które nimi kierowały kiedy to mając po dwadzieścia kilka lat zakładali pismo jakiego ani wówczas, ani nigdy potem nie było w całym tzw. „obozie socjalistycznym”.

Legenda tego pisma przetrwała do dzisiaj i wielu zadaje sobie pytanie: co było powodem tej legendy? Czy rzeczywiście dokonania literackie Grupy „Współczesności” zasługują na tak trwałą pamięć? A może chodzi tylko o to, że był to ożywczy powiew wolności, swobody słowa i eksperymentu, który pomógł całemu pokoleniu wydobyć się z czadu epoki stalinizmu.

Myślę, że na ten temat powinni się wypowiedzieć nie tylko twórcy i admiratorzy pisma, ale i jego krytycy, często starsi o pokolenie, ciekawe będą też opinie czynnych do dzisiaj znanych pisarzy i poetów jak Ernest Bryll, czy Roman Śliwonik, a także dysponująca obszernym archiwum z tego okresu Anna Siewierska, „muza” redakcji z okresu jej powstawania. Jeśli chodzi o stronę formalną filmu, to nie będą to tylko „gadające głowy”, istnieje z owego okresu szereg ciekawych materiałów archiwalnych z Polskiej Kroniki Filmowej dotyczących m.in. także „Współczesności”, uczestnicy tamtych wydarzeń dysponują też szeregiem fotografii prywatnych, nigdy nie opublikowanych dotyczących początków „Współczesności” i jej legendarnej redakcji w prywatnym mieszkaniu rodziców L.Szymańskiego przy ulicy Ludnej w Warszawie. Te materiały montowane z wypowiedziami uczestników życia literackiego z tamtych lat pomogą wprowadzić widza w tak odległe dla niego

Marek Piestrak

„WSPÓLCZESNOŚĆ – MIT POKOLENIA”

Szkic scenariusza filmu dokumentalnego.

„Kilka dni temu zmarł Władysław Terlecki, prozaik i dramaturg, laureat licznych nagród literackich, urodzony w 1933 roku debiutował razem z tzw. pokoleniem „Współczesności”, po przełomie 1956 roku”, tak w krótkiej notatce pisał m.in. o śmierci znanego pisarza krytyk Gazety Wyborczej. Nie tak dawno zmarł znany pisarz Jerzy Siewierski, jeden z twórców tygodnika „Współczesność”. W tym roku będziemy obchodzić 50 rocznicę powstania tego pisma, które jak żadne inne odcisnęło swoje piętno na wielu pokoleniach polskich pisarzy i poetów. M.in. w Muzeum Literatury w Warszawie odbyła się specjalna sesja naukowa poświęcona temu wydarzeniu. Od wielu lat w polskiej krytyce literackiej istnieje pojęcie pokolenia „Współczesności”, ale tak naprawdę co się kryje za tym pojęciem, kogo do tego pokolenia można zaliczyć, a najważniejsze kto to pokolenie stworzył, kto był założycielem owej „Współczesności”, nikt już po za nielicznymi matuzalemami literatury nie pamięta. Nadmiar wszystkiego krąży najróżniejsze mity i legendy na temat założenia samego pisma, „kto za tym stał”, i komu było na rękę powstanie, przynajmniej w założeniu niezależnego tygodnika młodej literatury.

Tymczasem, o dziwo żyją jeszcze ludzie, którzy „Współczesność” zakładali, w tym jej pierwszy redaktor naczelny Leszek Szymański, postać tajemnicza,

MAREK PIESTRAK

Reżyser i scenarzysta, członek zwyczajny sekcji autorów dzieł filmowych i telewizyjnych ZAIKS-u, członek Zarządu Głównego Stowarzyszenia Filmowców Polskich, ekspert Komitetu Kinematografii, absolwent Politechniki Gdańskiej i Wydziału Reżyserii Filmowej PWSTiF w Łodzi.

Po ukończeniu studiów odbył praktykę przy produkcji filmu Romana Polańskiego „Rosemary’s Baby” w Paramount Pictures w Hollywood, a następnie pracował jako drugi reżyser przy filmach m.in. Krzysztofa Kieślowskiego, Antoniego Krauze, Janusza Zaorskiego, i Romana Załuskiego oraz duńskiego reżysera Sorena Cragh Jacobsena. Marek Piestruk zrealizował kilkadziesiąt filmów dokumentalnych i fabularnych, które reprezentowały kinematografię polską na wielu festiwalach filmowych i były wyświetlane m.in. w U.S.A., krajach byłego Z.S.R.R., w Niemczech, Belgii, Szwajcarii, Austrii, krajach Skandynawii, w Czechosłowacji, Rumunii, na Węgrzech, Bułgarii, a także w Indiach, Pakistanie, Wietnamie, Mongolii oraz w kinach i telewizjach wielu innych krajów. Marek Piestruk reżyseruje także w Teatrze Telewizji oraz zrealizował szereg spektakli teatralnych.

**INFORMATION ON MAREK PIESTRAK, FILM DIRECTOR &
SCREENWRITER**

Marek Piestrak is a leading Polish film director of the middle-aged generation. Born in Cracow, Poland, he graduated from the Film and Television Academy in Łódź. He did practical training in the United States during the production of Roman Polański's *Rosemary's Baby*.

Mr Piestrak is an efficient filmmaker - most of his films have been box office hits in Poland, and they have been appreciated by millions of spectators outside his native country.

His debut was the film entitled *Test pilota Pirxa* (*Pirx's Test Flight*), which won the Golden Asteroid Grand Prix of the Jury at the Science Fiction Film Festival in Triest, and was acclaimed by film as the best SF film of the year (VARIETY).

Marek Piestrak has also made a number of TV films which won awards at other film festivals, including *The Worldmaster* (the Fipresci Award at Sportfilmtage in Oberhausen, Germany), *The Day of the Caravan* (the Golden Devil Award at the Film Festival in Les Diablerettes, Switzerland) and many others.

Marek Piestrak is also the director of *Hoods and Visors*, a nine-hour historical TV series, as well as many TV plays and theatrical performances.

His latest productions are : "*Terrific Vacations*" fantasy film for children, "*In the name of Law*" serial for TV, and "*Magic Star*" (in production).

Marek Piestrak is a board member of the Association of Polish Filmmakers.

MIAREK
PIESTRAK

P. Stanik S
DANOTA

Do Wglądu

Marek Piestrak zawodowe doświadczenie zdobywał w wytwórni „Paramount Pictures” asystując przy realizacji filmu „Dziecko Rosemary” Romana Polańskiego. Jego film „Wilczyca” z 1982 roku to także horror. Są więc w nim tradycyjne już dla tego gatunku elementy – grobowce, samotny duń, a także pełen niepokoju nastrój, czyli rasowy horror w rodzimym wydaniu

Dlaczego to zrobiłeś Marku?

Marek Piestrak: Co?

No... posiwioteś.

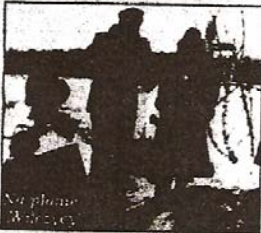
Chyba ze strachu...

Mężczyźni siwieją ze strachu?

Niektórzy widać tak.

Kiedy Ci się to przytrafiło?

W czasie polsko-amerykańskiej wyprawy w Himalaje na siódmy szczyt świata. Ale to było dość dawno...



Na planie „Wilczyca”

Brołeś udział w tej wyprawie?

Tak, jako alpinista i reżyser. Operatorem był Staszek Jaworski. Kiedy po trzech miesiącach wróciłem do domu, żona mnie nie poznała: byłem o dwanaście kilo chudszy i... całkiem siwy.

Znamy się tyle lat, a ja nie wiedziałam, że się wspinasz!

Już się nie wspinam, oblecałem to mojej żonie. Z tej przygody zostało sporo fil-

„Odlotowe wakacje” (1999)



TVP 1
sob. 11.20

mów, które ze Staszkiem Jaworskim pokazaliśmy na różnych festiwalach na świecie, sporo nagród, sporo satysfakcji. Staszek, niestety w kilka lat po tej wyprawie zginął.

Wcześniej Himalaje zabrały innego Staszka, również operatora...

Tak, Staszka Lataśo.

Oj, Marku, zjedźmy na inny temat... Łatwo dogadujesz się z ludźmi?

Ze współpracownikami – tak. Przecież lepiej robić filmy z przyjaciółmi niż z wrogami. Trochę gorzej z producentami, tymi, którzy pomagają znaleźć pieniądze i kontakty. Odnoszę wrażenie, że z nimi lepiej wspólny język znajdują bardzo młodzi reżyserzy.

Marku, powiedz mi szczerze, czy zawodu reżysera można się nauczyć?

Jeśli studiujesz się na dobrej uczelni, jaką niewątpliwie była i jest Szkoła Filmowa w Łodzi, jeśli nad człowiekiem pracują wspaniali, wybitni ludzie, a za moich czasów byli to profesorowie Bohdziewicz, Wohl, Wajda, to można nauczyć się nie tylko technicznych podstaw, ale i twórczego stosunku do zawodu.

A czego nauczyć się nie da? Co trzeba w sobie po prostu mieć?

Andrzej Wajda powiedział kiedyś na zajęciach trzeciego roku: „Spośród was jeden, najwyżej dwóch będzie robiło filmy, bo do tego trzeba



mieć niesłychaną odporność psychiczną...”

I co? Miał rację?

Miał.

To dlaczego zostałeś reżyserem filmowym?

Kiedyś zrobiłem wywiad z Romanem Polańskim i też go



„Wilczyca” (1982)

TVN 7
czw. 1.10

o to zapytałem. Odpowiedział, że lubi różne historie, lubi, czytając książki wyobrazić sobie, jak wyglądałby na ekranie...

To Polański, a Ty?

Ja? No cóż, zawsze szalenie lubiłem chodzić do kina i robiłem to po pięć - sześć razy w tygodniu, zawsze pochłaniałem książki, zawsze marzyłem o tym, żeby różne historie opowiadać na ekranie. Jak widzisz, nie powiedziałem nic oryginalnego.

Ale powiedziałeś coś prawdziwego. Bardzo Ci dziękuję.

Rozmawiała Asja Łamiugina



„Test pilota Pirxa” (1978)



„Klątwa Doliny Węży” (1987)



„Powrót wilczycy” (1990)



„Lza księcia ciemności” (1992)
TeleMagnum 30/2003

Zawód: reżyser

Adam Czajkowski, adwokat warszawski,
i jego bracia, Sławobłoki i Borycht
chcieli w zamian za 4 miliony
dyktando, wózków, ale u
nie pracują, służyć to
nie ma, w tym jest
winnik, zastępcy bratowa
z Krakowa, sekretar-
em charytatywnym.

Wiem o bracie tatar-
miej, zabójcy siebie.
to jest, na jakis czas
okazywało to ci

MARIA OŚNIAŁOWSKA

współ twórca i innych numer-
ów, bo u nas nie ma, a
winnik w zastępcy ma
wieloletni, dyktando i innych
ci odpisów. Nigdy nie
zapomnę co dla mnie
zobowiązań. Maria Ośniewska

Wszystko ci swój tenik
na 54 stronie wiersz tobie
wedykcyjny.

Wzrost problematyczny
i innych numerów i okazy

Wapach kadzisz. Kazyani intensywnie medytują. Pewni ludzie
samuraj się w nocach. Kaucja na nie kwiaty takie same
wianki w świeczkach jak u nas na Świętego Jana. Po Ganges
płyną tysiące wianek każdego wieczora. Bezpośrednio do
wody przylegają grubo mury klasztorów. Niektóre łączą
przeszło dwa tysiące lat.

Czyż nie ten świat?

Serdeczne Pozdrowienia Dla Wszystkich. Prosi, żeby może
kiedy przysłał mi parę kwiatach do czytania.

Maria Orzechowska

ul. Szarynki
A. Galla

30. września, 1965
Canberra, N.S.W.
Australia

Wł. Marianko,

Wielką Ci bardzo za tobie odpowiem. Naprawdę jest to pierwszy list od kogoś ze Współczesności. Siewierski nie miał mi dostarczyć wielu informacji a pozycja moja korespondencja z nim jest bardzo nieaktualna. Ostatnio odwiedziłem się, do Współczesności i Szymon Lewandowski znów doś z mnie wywarowały. Naprawdę się spodobał mi się, że postać zrealizowany na Miasteczku (pamiętnym wydaniu). Zdziwił mi się, że mój artykuł w Kulturas był ukończony i karawem dyskretny. Sami znacie szczegóły sprawy i wiecie w czym się wspaniałem, uważając że obowiązkiem było więcej lojalności takiej samej, jakiej spodziewałem się wobec siebie.

Jeśli chcesz mi przysłać wspomniane wycinki, słowa i Współczesność będę bardzo wdzięczny.

Odmówicie sobie z sobą wiatry, gnany nie powinna w żadnym wypadku angażować się specjalnie w moją stronę. Nie to nie pomoże a może zaskradzie danej wachle.

Spodziewam się rychłej odpowiedzi. Czy chcesz mi podać adres Sliwanika, chciałabym do niego napisać. Co słychać w ciągu tego roku w Pozni Polskiej. Napisał mi o tym jeśli chcesz utrzymywać kontakt. List ten oczywiście możesz pokazać komu uważasz za stosowne ja bym jednak był bardzo ostrożny pod tym względem.

Nie wiem w czym pisałem w pierwszym liście a konte moich wrażeń z podróży więc wybacz jeśli się powtórzę. Przez pewien czas byliśmy w Benares. Miasteczko lichym le liczącym sobie czterech tysięcy lat. Najstarszym ośrodkiem Hinduzizmu na świecie. Kurz, świnie na ulicach i pierwsz palmy. Na każdym kroku świątynia. Przed świątynią obowiązkowy sprzedawca ofiar dla bogów. Duża świątynia Hammana małego boga. Po tarasach dachach niezliczone setki mał. Wyrwyją wszystko. Jadzi okal nie zabrakło torskki, lecz dopiero wieczorem ożywa dusza poet. Polecała się wazadzie dzwony. Setki tysięcy lu

Marian Ośmiałowski

LIFY

Zgadziły się z każdym
już wyrokiem Bożym,
tylko niech nie wytną
naszych lip najdroższych.

Niech wśród słońca kwitną,
niech dzwonią pszczołami,
Matko Boska Zielna,
Módl się za lipami.

Oblane błękitem,
pegodą i złotem
Panno nieśmiertelna,
daj je nam z powrotem.

Tęskniły za nimi
dniami i nocami,
Królowo Pokoju,
módl się za lipami.

Niech ku Twojej chwale
trwają wciąż niewiennie,
w południa upale
i w deszczach jesiennych.

Gdy będziesz konać,
niech ssumią nad nami,
Królowo Anielska,
módl się za lipami.

1943

Leszek Szymański

Opowieści Anioła

(Marianowi Ośniałowskiemu)

W sąsiednim pokoju umierała dziewczyna. Umierała na gruźlicę, którą się zaraziła od kochanka malarza. Malarz nie żył już od roku, lecz jego bakcyle karmiły się na płucach ~~ukochanej~~ ^{mi} ukochanej. Płótna zapackane przez niego olejami spoczywały do tej pory w korytarzu. Każdy o nie potraçał. W korytarzu było bardzo ciemno, odkąd ukradziono ~~ostatnią~~ żarówkę.

Dziewczyna umierała długo i szczęśliwie. Z jej pokoju zawsze dochodziła piękna muzyka i cudne wonie. W powietrzu unosiły się anioły. Lubiłem tam przychodzić ~~zawsze~~ ~~zawsze~~. Było to ładniejsze i tańsze niż kino.

Dziewczyna w końcu umarła na dobre. Przyszedłem. W pokoju nie dźwięczała muzyka. ^{Podobnie Smeruńskich w tym było} ~~Naręcze kwiatów zwiędły wonie zanikły~~ a w kacie siedział tylko jeden zakurzony anioł. Wyszedłem.

Od tego czasu spotykałem często tego anioła. Wypełzał, wyleniał od cierpkiego wyczekiwania w przedpokojach różnych redakcji. Pokazywał mi swoje wiersze. Redaktorzy nie chcieli drukować, podobno były za sielskie-anielskie. ^{zapomnieli mi je} Później ^{ostry go nie redaktor} ktoś mi powiedział, że anioł ~~też~~ zmarł na gruźlicę, lecz ^{ze zycia} przed śmiercią opowiedział mi wiele cudnych bajek. ^{spawac} Jeśli nie potrafiłem ich ^{nigdy} dobrze powtórzyć trudno, nigdy nie byłem aniołem. Wybaczcie.

RIZLING

~~Twoje wargi są zimne
jak gdyby nieprawdziwe.
Albo twoje usta są jak rizling złoty.
A sny są niemożliwe.~~

~~Złota jak rizling chwila.
Kwietnia niebieski liryzm.
Lęk. Słów znaleźć nie umiemy.
To minie jak życie motyla.
Ty — kwiecień — miłość — rizling.~~

SPOTKANIA

W dzień jesteścieśmy zupełnie sami
pod klonami, olszynami, pod akacjami.

Wiolonczeli nutą wieczór się zniżył,
ustom do ust, rękom do rąk bliżej.

Pod drzewami, pod wysokimi
ktoś chce zagrać na skrzypcach — nie umie.
Pod lipami, pod kwitnącymi
ktoś nie może kogoś zrozumieć.

W dzień jesteścieśmy zupełnie sami.
Słońce kwitnie, deszcze szepczą nad nami.

KONIEC

*

*

*

Kora olch w cieniu jest liliowa.
W smutek urodę pól zaklinał.
Maczane w zorzy topól pióra,
Faluje łąka melodyjna.
Pozwól się dalom oczarować,
Unieść się drzew wysokim wzlotem.
W mieście o trawie zapominał.
Kołują wrony, przemknął zając.
Końskim nawozem pachną drogi.
Żaby w mgle świętokrzyskiej dzwonią.
Tu krowy mają oczy bogiń.

ŚMIERĆ

Czy wiesz, jak się umiera?
Jak by się zasypiało.
Noc szafirowa teraz
na czeremchy opada białość.

Ktoś się nad tobą schyli
i powie ciepłym głosem;
niczego nie bój się.

Parę

Nieprzeliczone kwiaty, od tych ogrodowych
piękniejsze, bo bez śladów kultury
i teraz
łagodzące namiętność wiatrów południowych,
w porze gdy popołudnie powoli umiera.

Jaskółka nad polami sermie przelatuje.
Krajobrazu wiejskiego cała piękność
prosta
niewysłowionym jakimś urokiem pulsuje
i sercu szepcze śpiewnie, umrzyj lub
pozostań.

Gdzieś w oddali zamglonej grucha gołąb
dziki.
Nie wiadomo, co Śpiącej Królownie się śniło.
Stadko ptaków w jęczmieniu poćwierkuje
tak miło,
że już wcale nie trzeba tu innej muzyki.

Wracają z ośłą skórą. Na odwrót zatrąbiono
w sąsiednim stanie Bombo el Baliwi.
W gospodarstwie pachnie zupą i pieczenią słońcą.
Siadamy w chłodnym kącie, zmęczeni,
szczęśliwi.

W A T T E A U

Ciemniejsze niż noc
czubki drzew.
Malinowe i srebrne lody.
Kołysze się w stawach woda.
Dalekich gwiazd daleki śpiew.

Wśród kolorowych parasoli
wzbiera miejskie lato pstre.
Ścieżkami wieczornego czaru
chodź w głąb obrazów Renoira
jak w mgłę.

Lipowych krynolin tło.
Pierrot księżyc nad mrokiem drzew.
Światel na wodzie plamy.
Tak jak za czasów Watteau
nie wiemy, gdzie jest brzeg.

MŁODOŚĆ

Ciebie nie dziwi dziki głóg.
Całe szyby zalane pogody złotym sokiem.
Na którejs z śpiewających dróg
Zgaśnie pachnących włosów połysk.
Nie tracą na świeżości usta całowane
Pośród wieczorniejących alej:
Pogoda, lato, liście, róże —
Ciebie nie dziwią wcale.

A T A N A Z J A

Są ludzie, którzy nie mają gdzie
umierać.
Żeby z żalu za życiem nie płakali,
za oknami otwartymi na ciężar lata,
za oknami zasłoniętymi bursztynowymi
firankami —
umierającym grajcie na skrzypcach
walce różowe.

Wielkie jesienie zrzucają na siwe wody
korale.
I trwonią listy do nikogo wśród zóbkłych
traw.
Do kraju Danta, do Italii
w snach odjeżdżamy, powracamy do starych
prawd.

W odwiecznym rytmie akord śmierci,
w krzyku złych, w pieśni dni szczęśliwych.
Zarzuca wiosna złote sieci.
Wielkie jesienie korale na wody strącają
siwe.

L'ART POÉTIQUE

Nie mów mi, jakie wiersze pisać.
Nie potrzebuję twoich rad.
Tobie, wietrze, wiosnę w drzewach kołysać,
uczycić liści zielonych gam.
A mnie czekać na najdalsze, czekać.

Od człowieka do człowieka daleko.
Każdy dzień mój jest ciężki od kłamstw.
Wiatr w topolach jasną wiosną kołysze.
Kiedy piszę, jestem szczery, czysty, dobry.
Może wtedy tylko nie kłamię,
gdy wiersze piszę.

POCZĄTEK

RYMY

Leszkowi Szymańskiemu

O czymś trzeba pamiętać.
O kimś trzeba zapamiętać.
Kiedy zasnąć nie mogę,
przychodzą wiersze do mnie.

O kolorowych aniołach,
o królewnych nieznanym
śpiewają,

nocami letnimi, preriami, szumem oceanów
pijane.

Śpiewają o podróżach
w rozstępcznym mirażu, w grające
oddale.

Ażebym w noce bezsenne
nie nudził, nie męczył się wcale.

WARSZAWA KONIEC PARYZ

54

WARIACJE JESIENNE

Wielkie jesienie zrzucają na siwe wody
korale.
Nie mów do mnie. Nie szukaj mnie wcale.
Anno Mario, nie chodź ulicami.
Obrzuca cię słowami, kamieniami.

Anno Mario, nie wychodź z domu.
Nikt nikomu nie może pomóc.
Nie wierz nikomu i niczemu.
Księżycowej maski nie zdejmuj.

Każda chwila sączy truciznę,
w każdej jest śmierć.
Nie kochaj chłopców bursztynowych,
w liliowym odjeżdżają śnie.

Wielkie jesienie korale na wody zrzucają
sine.
Wszystkie dni zadają ciosy. Wszystkie
godziny.
Wlewa się w serce jesieni liryzm.
Wszyscy kłamiemy w każdej chwili.

55

brzmiewającym zawsze tętentem galopujących na koniach amazonek.
Przypomniał mi się Marian. Taki, jakiego zęgnakem w Warszawie:
w marynarce w peruce, i w krawacie na gumce.

Zbigniew Irsyk

utworów o miłości i przesłaniu. Marian miał znakomitą pamięć. Na prośbę, by coś mi dał do druku, zawsze pośpiesznie, samym wkładem od gługopisu, na luźnych kartkach, ²⁵spisywał ⁴²„Głowy” swoje w wiersze. Nie miał nigdy uniejętności krytycznego stosunku do swe twórczości. Z reguły najszabsze utwory uważał za najlepsze, a te, które podawał do czytania z gestem lekceważenia, ekasowały a najolekniejsze.

[Kiedyś - czasą naszą grupą pojechaliśmy na spotkania literackie Krakowa. Był wspaniały upalny maj. Wieczorem Marian gdzieś się nam ²⁵złapał i ⁴²zapekiliśmy się bardzo o niego. Pojawik się dopiero późno ²⁵poj. Jak zjawa seana w blasku światła księżycowego wyrzyk ²⁵o drzwiach wspólnego pokoju hotelowego przy Plantach i ²⁵zapytania, gdzie przepadł i co robił - smajnik z wałą swoją - roznajającą naiwnością, że był w jakimś lasku i wachakwie ²⁵bo tak pięknie pachniały.

[W dniu swojego wyjazdu do ^{Francji} ~~Paryża~~ Marian wpadł do mnie na chwilę do redakcji „Kierunków”, by się pożegnać. Był dziwnie ureczysty. Jak zwykle z rozwianym włosiem, z przysutażonymi oczami. Był w marynarce kupionej na ciuchach, w białej przybródzonej płóciennej kessuli, w krawacie na gumce, w czarnych wąskich spodniach i trampkach. Nigdy go już więcej nie zobaczyłem.

[Kilka lat potem doszła nas wiadomość o jego tragicznej śmierci. Pozostały po nim dwa temiku urecznych wierszy: „Kontrasty” i „Sudycyńska”.

[W moich późniejszych włóczęgach po Paryżu pewnego dnia w poszukiwaniu schronienia przed niesnędznym upałem wybrałem się do Lasu Buleńskiego. Zdarzyło się to podobnie tutaj, w tym samym Lasu, res

dziewczyny z zainteresowaniem spoglądały w naszą stronę. Na takich jednych z pierwszych spotkań poetyckich - na których potem ujawnił swój talent recytatorski Wojciech Siemien - czytał również swoje wiersze Marian Ośniałowski. Czytał cicho, ale sugestywnie, gdyż przez jakiś czas był aktorem i występował nawet w teatrze, acz bez specjalnego powodzenia, w teatrze, bodaj w Częstochowie. Byłem oczarowany naturalnością tych wierszy, ich prostotą, melodyjnością strofy i wyjątkową wrażliwością autora na piękne przyrody polskie krajebramu. Z tamtego wieczoru utkwił mi zwłaszcza w pamięci jego wiersz - inwekcja do Matki Boskiej, by chronić lipy zielone przed szałami. Naszalem wtedy Mariana polskim Prevertem i mówię o wartości jego utworów, również jako gotowych tekstów piosenek. Swoją drogą szkoda, że dotąd jeden tylko jego wiersz doczekał kariery estradowej.

Od pamiętnego wieczoru żyliśmy zawsze w wielkiej konfitywie. Oba lubiliśmy nieskończone wędrówki i poezję francuską. Marian tłumaczył wówczas właśnie Eluarda, Aragana, René Chara, Saint John-Perse i Supervielle'a. Bywało, iż dyskutowaliśmy o poezji tak gorąco, czasami przemierzaliśmy całe miasto. Raz Marian odprowadzał mnie na plac Inwalidów, gdzie wówczas mieszkalem. Innym razem snem zapędzałem się snem z nim na Brzeską, ^{gdzie} tampanu pewnej starusie odnajmował sublekaterski pokój. Bardziej lubił to miejsce. Wiele cenił sobie bazy, ciuchy, brudne, zabrukowane kocimi łbami ścieświecone uliczki i cały ten bajecznie kolorowy świat lumpów praskich, z którymi on poeta-dziecko egołębim sercu - żył w wielkiej przyjaźni. Jak dziecku też zawsze największą przyjemność sprawiało mu chodzenie na karuzelę, do Wesołego Miasteczka nad Wisłą lub do zoo. Tu w tym świecie przedmiejskiego folkloru, w tłumie ludzkim, czuł się najlepiej, bezpiecznie i stąd czerpał twerzywe do swej

ZBIGNIEW JĘZYK

MARIANEK

(1920-1957)

Pisarze, gdy odchodzą od nas, są i tak uprzywilejowani w porównaniu z innymi znajomymi. Pozostaje ich twórczość, możliwość spotkania z nimi poprzez ich książki. Ale pamięć żywa to coś więcej. Mierzą się nie tyle rangą artystycznych dokonania, lecz przede wszystkim trwałością naszych wspomnień o nich jako konkretnych ludziach, a w miarę upływu czasu stają się jakby częścią nas samych.

Mariana poznałem w 1956 roku na Ludnej, gdzie początkowo mieściła się redakcja "Współczesności". Urzędowaliśmy wtedy w dużym pokoju wśród wiecznie suszącej się na sznurach bielizny, wśród salegających wszędzie stosów wydrukowanych numerów pisma. W tej nieswykłej scenerii przygotowywaliśmy materiały do druku, redziły się pomysły artykułów, wreszcie namiętnie radziliśmy wspólnie nad zdobyciem odpowiednich środków i protekcji tytulowego recenzenta, aby mógł ukazać się następny numer "Współczesności". W tych zebraniach uczestniczył także Marian. Z reguły milczał, przeważnie nieobecny, daleko myślami. Bliżej go poznałem i zaprzyjaźniłem się z nim dopiero później.

W tym czasie naszej działalności towarzyszyło wyjątkowe zainteresowanie literaturą, wieczory poezji organizowane przez naszą grupę w "Kamiennych Schedkach", potem w "Krokodylu" na Rynku Starego Miasta cieszyły się ogromnym powodzeniem, gromadziły tłumy młodzieży, podobnie jak te, które potem ściągają występy piosenkarzki Grażyny Niemena czy Maryli Rodowicz. Szczególnie poeci byli w cenie. Wystarczyło, że się któregoś znało osobiście, na przykład Andrzeja Brychta, Ernesta Brylla, Staszka Grzechowiaka czy Renka Śliwienika, inni zazdrościli i aby najładniejsze dane

Wróć, zanim księżycowy nów
stoczy się w pustkę.
Zaklinam cię, złodzieju snów,
na świętej Eulalii usta

Za górami, za oceanami
złote zebry tanczą i lwy młode.
Porzućmy ulice szare,
pojeździemy po wielką
przygodę.

(Romance Portugal)

lbo inny utwór:

Piaszczystą drogą wśród ekacji
przejeżdżają nocni jeźdźcy konno
i odjeżdżają przez łąki
pachnące sianem, miodem, smołą i krwią

ku jeziorom dalekim.
Tam mnie nie ma..
(...)

Nie ma mnie w żadnej prawdzie,
nie ma mnie w żadnym z kłamstw.
Obejmuję ramionami noc".

Puste

Marian Ośniatowski

Kiedy czytał mi ten wiersz w rozdygotanym wagonie mknącego pociągu,
który nas wioził na poznańskie spotkanie, za oknami była Polska: mazowieckie
łąki, pola, lasy, wody...

A później przyszedł zły sen Paryża. I niepotrzebna ofiara, niby przejścio-
wej depresji czy uporczywej samotności — niepotrzebność. Powinien wrócić do
woich. Ale ludziom wrażliwym proste wyjścia wydają się częstokroć zbyt skorn-
likowane.

Talent Mariana Ośniatowskiego zamigotał tu w kraju. Zaledwie dał o so-
bie znać. Nie rozbił się w Paryżu, zgasł. Kto namówił Mariana aby tam został?
pośród liryków pokolenia „Współczesności” bez wąpienia miał najbardziej „na-
irę poetycką”.



ZDZISŁAW JERZY BOLEK
(14.01.1934 — 22.06.1975)

Pamięć

— Pamiętasz?
Stary półkolem
wstydliwie zasłaniając długimi zwisami
czarną nagość pni —
Było cicho,
ciszej niż w pustym kościele wieczorem —
W czarnej wodzie,
jak w oczach
dwa błyszczące światła —
z księżycą i z pobliskiego domu —
jak izy.

Nigdy nie zapomnę
owej cichej, dziewczęcej pozy wierzb —
jakby czekały pocałunków...
Nie zapomnę ich cieni w twych oczach...
Choćby wspomnienia ktoś chciał zmać,
jak wodę —
pozostana na falach drżac...

JERZY STANISŁAW CZAJKOWSKI

MARIAN

09.1920-6.12.1966



Marian Ośmiałowski i czytająca wiersze poetów „Współczesności”. Danuta Mancewicz.

Pojechał po wielką przygodę i... nigdy już nie wrócił. Tymczasem prawną a wielką przygodą czekała na niego tu, w kraju. Niestety, nie umiał tego czyć. Mimo wielkiej wyobraźni.

Pomyślałby ktoś — po prostu uległ fascynacji, omamieniu oknami wystawami Zachodu (bo tylko te mogli znać). Nie. To nie to. Marian szukał czegoś i innego. Szukał już tu, w kraju. Wiedziałem o tym. W końcu zdecydował na wyjazd — w poszukiwaniu owego „skarbu” — do Mekki artystów. Do Paryża, do Paryża. A tak naprawdę to do swojej rodziny, do ciotki. Bo w Polsce miał — żadną.

Zasiedziała od lat i sfrancuziała rodzina zawiodła oczekiwania Mariana. Znalazł u niej nawet odrobiny rodzinnego ciepła, którego tak bardzo potrzebował. Jak każdy człowiek. Nie miał żadnego oparcia rodzinnego. Tu, w kraju, życie Mariana to coś jakby steroca dola...

Kiedyś zadzwonił do mnie Marian i powiedział, że właśnie był w parku, iaka sadź, zamróż na drzewach. Ze tak w ogóle było tam cudownie, i — że sam tuch cudów natury zobaczyć.

Dzwonił do mnie rzadko. Kiedy jednak już zatelefonował, wiedziałem, że ma co jeść. Sam nie bardzo miałem.

Marian mieszkał na Pradze, gdzieś w okolicy Żabkowickiej. Zajmował kąpielni u jakiejś starej, prostej kobiecin. Miała reumatyzm i było jej zawsze ciężko. Marian skarżył się, iż właśnie dlatego jego gospodyni nie pozwała otwierać okien. Ze on robił to ukradkiem, kiedy jej nie ma w domu. Marian tam o sypiał. Uciekał z tego pomieszczenia, gdzie tylko mógł. Latem przesiadywał na ławkach w miejskich ogrodach, zimą na ławkach stworowycy, w kładach. W czyniełmach rzadziej, gdyż nigdy nie miał tam czym się wyieglitymo-

Już któreś popołudnie z rzędu uganiał się wszyscy z „Grupy” po ciemniejszych ulicach Śródmieścia, by rozprowadzić tą drogą choć część nakładów „Współczesności” (tak wtedy pisano). Drukarnia na Smolnej dłużej z rachunkami chciała czekać. Ktoś z nas wpadł na pomysł, aby zabawić się w sprzedawców w dworcach. Efekt tego było przybliżenie numeru podziemnego, że po prostu nie mamy za co wydawać pisma. Nasze reklamowe tiki w rodzaju ruderstwo, tu na tych stronach opisane na niewiele się zdały. Poza Mariana...

izy.

Jest jesień 1957. Spotykam Mariana na placu Trzech Krzyży. W oczach

— Co jest — pytam.

— Leszek powiedział, że plałta, że to już naprawdę tym razem koniec. Powiedzieli mi w drukarni, że już dłużej z rachunkami nie będą czekać. Tego dnia długo chodziliśmy z Marianem po ulicach. Zbyszek Irzyk też nie umiał nic wymyślić. Dotarłem aż do samego Starewicza. Odmówił pomocy. Nawet wykpił. Marian rzucił — pozostaje tylko Mokotowska.

W redakcji jak w ulu. Wrzask. Podniecone głosy. Dwa obozy. Jeden żąda powtórnego sformułowania Starewicza. „Przećcież nas wykpił” — przypominam. W końcu, po burzliwym kolegium, wcale nie licząc się z tym, ile głosów przeważa w którejś stronie, zbiegam po schodach starej czynszowej kamienicy na Ludnej 4. Na I piętrze w mieszkaniu naczelnego mieściła się redakcja. Na parterze — poczta. Telefonuje na Mokotowska. Przymyślają wóz. „Kto jedzie?” — pytam. Ktoś tam zaklął, ktoś trzasnął drzwiami. Stanęło na tym, że ja mam jechać z Leszkiem. Po drodze Leszek kłmie jak szewc. Przymijamy warunki bez dyskusji. Kłamka zapadła. Poseł Jan Frankowski z Instytutu Chrześcijańsko-Spolecznego ze swoją kontropropozycją spóźnił się o cały miesiąc. Nasza redakcja miedzieli się teraz na ul. Wspólnej 43.

Zbliżał się dzień Wszystkich Świętych. „Jedziesz na groby swoich bliskich?” — pytam Mariana. „Nawet nie wiem gdzie ich szukać” — brzmiał odpowiedź. Ja także nie bardzo wiedziałem, gdzie mam szukać mogił niektórych moich najbliższych. Gestapo skrutnie pozacierało ślady...

W „Współczesności” zmiana warty. Leszek z żoną utknął gdzieś w Indiach. „Współczesność” po zbyt szerokim oddechu zachłysnęła się, zwinęła nie tylko pazury, ale skrzydła. Ze starej «współczesności» pozostał jeszcze w zespolie grzeszny Irzyk i dobrze ułożony Ośmiałowski.

A Marian Ośmiałowski?.. Wylądował w 1961 r. na związkowym stypendium twórczym w Paryżu. Od 2-3 lat go już w ogóle nie widziałem. Wiadomość o jego pobycie we Francji bardzo mnie zmartwiła. Wiedziałem już wtedy, iż więcej go już w życiu nie zobaczę. Żal było mi Mariana. Na dobrą sprawę nikt z nas nigdy nie był zaradny. Marian szczególnie. Zawsze zapatrzony przed siebie, w przetrzeń, zawsze pograżony w zabumie...

Gdybym dowiedział się w porę o przyznaniu Marianowi owego nieszczerzonego stypendium — uczyniłbym wszystko, by odwieść go od tego wyjazdu. Nie było to dla niego żadna szansa. Wiedziałem o tym, że na rozpacziwie listy Mariana o pomoc ciotki nie odpowiadała. Pomimo to Marian pozostał u niej, gdy skończyło się czteromiesięczne stypendium. I niedługo potem pozostał na... ulicy. Kiedy opadył już wszystkie nadzieję na jakie takie zahaczenie się gdziekolwiek, na jakąś afiliację przy kimkolwiek, któregoś paryskiego dnia Marian nie wytrzymuje...

Dopiero w kilka miesięcy po tym smutnym fakcie dowiedziałem się o tragedii polskiego poety. Policja francuska miała go znaleźć w Lasquo Vincennes czy Bulonśkim...

Zacząłem poszukiwać wspólnych naszych znajomych i przyjaciół. Kiedyś, gdzieś pokłóczyły się przyjaźnie...

Odszedł od nas szlachetny człowiek, który choć „z wysoka na świat spoglądał”, to jednak nie umiał z tej swojej samotnej wieży zobaczyć jakiejś perspektywy dla siebie samego. Zawsze zagubiony, zawsze uskrzydłony, zawsze zaplany w sieci swoich marzeń nie nadawał się do życia na paryskim zimnym bezludziu. W mrońskowej cywilizacji tego pustkowi, w społeczeństwie pieniędza. Przychylił tylko dla bogatych. Wąska ścieżynka jakiejś perspektywy istniała dla niego tylko w kraju.

Był autorem wielu bardzo pięknych liryków, rozrzucanych głównie po numerach „najlepiej” „współczesności”, z którą był związany od początku istnienia grupy i pisma całym sercem, całą duszą. Oddał jej najlepsze swoje siły, najlepsze swoje lata. Kosztem wielu wyrzeczeń odpisywał niezrozumiane wszystkie listy wpływające do redakcji. Często listy te były swojego rodzaju małymi recenzjami. Wyrozumiały, cierpliwy, dobry, subtelny, starał się nigdy nikogo nie urazić. Przechodził jakby niezauważenie, jakby stąpając na palcach. Nie narzucał swojego zdania. Nie umiał być złośliwym, unikał polemik. Był taki, jakby go już wtedy nie było. Metafizyczny jakiś.

Mielśmy obydwa wiele wspólnych wieszczeń autorskich. Kiedyś w MPiK-u na Piotrkowskiej. Słuchałac jego liryków niekiedy niekiedy...

muzykiem, a jednak tworzenie. Wierszy, jak w przypadku Mariana Ośniałowskiego, ślicznych, odbanalnających zwyczajność, czystych myślowo, które miały być w zamierzeniu poetyckie. I zawsze były poezją. Publicyści poetycy boją się takiej mowy poetyckiej, bo szybko obnaża, ujawnia niemoc i niemożność.

Marian, czytający na wysokim tonie, prawie melorecytujący rozpoetyzowany utwór, stwarzał spektakl często dziwny, a czasem komiczny.

Mieliśmy spotkanie autorskie w Koszalinie. Scena w sali konferencyjno-kinowej miała wysokość kilku metrów i usadowiono nas na niej jak na szczycie góry. Siedzieliśmy za stołem przykrytym czerwonym sukniem, które sięgało podłogi. Ludzi było dużo, późnej okazało się, że była to publiczność oczekująca na seans filmowy. Marian zawsze chodził bez skarpet, w białych pepegach. Białe to może one kiedyś były, teraz po podróży były czarne od brudu. Dziękowałem przypadkowi za tę wysoką scenę i za sukno zakrywające nas od połowy w dół. Ale Marian, kiedy przyszła jego kolej na czytanie, wstał zza stołu i wyznał śpiewnie, że woli mieć bliższy kontakt z publicznością. Wziął krzesło, zaniósł je na krawędź sceny, usiadł i teraz wyglądało to tak: ja za stołem przydzielonym, z twarzą zakrytą dłońmi, by zapegu zwisającym nad głowami czytelników, z emfazą wypięwujący wiersze. Na znak obycia i swobody wewnętrznej Ośniałowski założył nogę na nogę i upepegowioną stopą kołysał nad głowami zebranych.

I nic się właściwie więcej nie działo, nikt nic nie rozumiał, nie pojmował, nie słyszał. Wszyscy siedzieli wpatrzeni w wierszony nad nimi pepeg. Nad pepegiem wionęły wierszowane trele Mariana Ośniałowskiego:

Wieczorami za oknami

Kleine Nachtruhe.

Jednakowi, zawsze sami

z tą pioseczką du roi Henri

Marian Ośniałowski nie pił wódki, nie upijał się. Siedziałem kiedyś w nocnym barze. Wszedł Marian.

– Napijesz się? – spytałem.

– Tak – potwierdził.

– Wino?

– Nie. Wódkę.

– Poproszę pięćdziesiąt gramów – zamówiłem.

– Nie. Poproszę szklanekę – poprawia spokojnie Marian – i proszę nalać do pełna.

– Całą? – upewnia się barmianka.

– Całą – potwierdza Marian.

Przechylił szkło i jednym haustem wypił to morze wódki. Odstawił szklanekę i powiedział spokojnie w przestrzeń baru:

– Nigdy, Romanie, nie wiadomo, co jest źródłem inspiracji.

Marian mieszkał w wieloosobowym pokoju na Brzeskiej, ulicy o złej sławie. Ale dla niego była to najwyklesza ulica Warszawy. Podzielałem jego zdanie, bo dla mnie najgorsza ulica Warszawy była Nowogrodzka. Ulica meneli, złodziei, prostytutek. Może każdy ma swoją złą ulicę w Warszawie. Oprócz Mariana. Może Warszawa nie jest najlepszym miastem świata. Ale to nie miasto powinno mieć złą opinię, tylko ludzie w nim żyjący.

Nie czuję się związany z mieszkańcami Warszawy. Są bezsładnie zarozumiali, lekceważą ludzi z innych stron, przesadnie stołeczni, chociaż sami pochodzą ze wsi. Ludzie Warszawy z trudem stają się mieszkańcami miasta, mają ciągle mentalność chłopów, łanią drzewa, bo to nie ich, nie potrafią jak należy chodzić chodnikami i ich dzieci miasta też nauczyć się nie mogą. Nie chcą. Nie mają od kogo.

Nasze miasto jest trudne do polubienia. Nieładne, płaskie, rozrzucone na równinie, bez placów, bez myśli architektonicznej. Po wojnie architektami zostali ludzie bez wyobraźni i chylba niezdolni. I tak jest do dzisiaj.

Marian Ośniałowski stał na rogu Alej Jerolimskich i Nowego Świata pod odwiecznym Klubem Prasy i Książki i sprzedawał wrzosey. Zarabiał na chleb. Patrzył błękitnie na przechodniów, pukle jasnych włosów wily się gdzieś daleko z tyłu za lysującym czolem.

Poeta z tak wielką dumą, że pozwalała mu nawet na upokorzenie, choć upokorzeni powinni być, a nie byli, ci, którzy w tym samym czasie obdarowywali posłusznych grafomanów mieszka-

Na pewno lubił również dwie kuzynki Lubomirskie, mieszkające w Paryżu, o których piszący o Ośniałowskiim chętnie wspominają, i to nie wiadomo dlaczego. Ciotki jak ciotki i widocznie małą rolę odegrały w życiu Mariana, bo mimo że mieszkały w Paryżu, to właśnie w Paryżu Marian Ośniałowski – niejako pod ich bokiem – popełnił samobójstwo.

Tyle że nie na przedmieściach, ale w Lasku Bulońskim.

Los – w przypadku poetów zazwyczaj ujawniający się biedą – jak się weźre w człowieka, to nie odpuścił mu ani na Brzeskiej, ani w Falenicy, ani w Paryżu.

ŚMIERĆ

*Czy wiesz jak się umiera!
Jak by się zasypiało.
Noc szafrowa teraz
na czerwemchy opada białość.*

*Ktoś się nad tobą pochylił
i powie ciepłym głosem:
niczego nie bój się.*

Autentyczny, nadliryczny liryk zaczął jako aktor w Częstochowie i ten czas w jego życiu zaowocował umiejętnością recytacji wysokiej, śpiewnej, natchnionej. Brzmienie bardzo patetycznej, lirycznej strofy, połączone z nadmierną muzycznością wypowiedzi aktorskiej, dawały często zaśpiew za wysoki, nie-modny, ale odbiorca nie pozostawał obojętny. Poeta albo miał się ze słuchaczem, albo trafiał.

*Nagły muzyki poryw – skąd!
Tam w lutym kwitnie bez.
Szarpnie nerwami gorący ton,
Romanca Portuguez.*

Była w Marianie jakaś stanowczość sądów przy równoczesnej tolerancji. Wydaje się, że wszyscy artyści obdarzeni talentem są stanowczy w decyzjach artystycznych. Nazwałbym to charakte-

zawodów, bo ich zajęcie, niekonkretne, bezetatowe, wielozasosowe, wymaga wiedzy i odpowiedzialności, a jej przetrwanie i tworzenie wartości często nowych – wymaga siły. W najtrudniejszych latach stalinizmu Marian Ośniałowski, żeby wyżyć, sprzedawał wrzosy. Pisarzami prawdziwymi zostają tylko ci, którzy mają w sobie śmiałość. Wiedzie ich myśl otwarta.

A w gestach Marian był miękki, płynny, elegancki, błękitny. Poeta. W latach sześćdziesiątych pojechał służbowo z redakcji do Rzeszowa, żeby spotkać się z miejscowym aktywem. W Rzeszowie zwołano konferencję, posadono Mariana u szczytu dźwiękowego, nakrytego sukrem zielonym stołu i działacze mówili o potrzebach i osiągnięciach ich terenu. Marian Ośniałowski słuchał wystąpieni z głową wspartą na rękę. W pewnym momencie uniósł dwa palce do góry i swoim cichym, melodyjnym i z lekką afektowanym głosem zapytał, czy może o coś spytać. Zaległa cisza. Towarzysz z Warszawy będzie mówił.

– Proszę państwa – zaczął Marian – ja chciałem państwa tylko zapytać, czy w tych okolicach są wilki?

Aktywistom opadły szczęki.

Jednym przypada Nobel – ktoś to nam wyznacza? – innym wspólnie pokoje, czynszówki, mijanie i pisanie, bycie aktorem,



Wszędzie widział piękno, a widzącym je zawsze jest trochę smutno. Przemijamy. Sprzedawał w socjalizmie na ulicach wrzosy. Z biedy. Nigdy nie narzekał na świat i ludzi. Z wieloosobowego pokoju na Brzeskiej nagle on, zauroczony Polską, umyka do Paryża. Odetchnąłem z ulgą. Marian uciekł od biedy. Ale właśnie w Paryżu popełnia samobójstwo. Widać, że od czegoś musiał uciec.

A to Murzyn miał rację.

Jerzy Falkowski, dziennikarz impulsywny, spostrzegłszy, że Murzyni rozlewają do szklanek pod stołkiem własną, przyniesioną wódkę, piją i robią to prawie jawnie w biały dzień, i to w „Bristolu”, krzyknął:

– Zobacz! Co ci Negrzy wyprawiają! Zobacz! Negr ma własną wódkę!!!

Przypiął się do Murzynów jak obłąkany i musiałem mu kazać zamilknąć. Kierownik „Bristolu”, wystuchawszy opowieści, jakby posmutniał i poczuł do siebie żal. Był wobec Murzyna nadopiekuńczy.

A Murzyni chcieli zarzącać mnie.

Ja nadal ich lubię, a wydarzenie wydaje mi się jakby zapamiętane z kina.

Marian Ośniałowski

O ŻYCIU DLA POEZJI, DLA SZTUKI.
O PEPEGACH, NA BRZESKIEJ

„Romanie, Paryż jest podobny do Warszawy. Szczególnie na przedmieściach” – pisał Marian Ośniałowski.

Niebieskooki, wysokoczoły, natchniony poeta, wyjącznie liryczny, z wyboru. A na przedmieściach Warszawy, w okolicach Falenicy rwał wierzosy, które sprzedawał pod Klubem Prasy i Książki w Alejach Jerozolimskich. Ciekawe, czy z okien KC oglądali poetę partyjniacy od kultury. Mieszkał na Brzeskiej, a już sama Brzeska jest straszonym zaułkiem – przedmieściem. Marian tę ulicę lubił, bo Marian Ośniałowski wszystkim i wszystkim lubił.

Marian Ośniałowski.
Jeden z tych jawnie
przyznających się
do tego, że jest poetą.





„Romanie, Paryż jest podobny do Warszawy. Szczególnie na przedmieściach” – pisał Marian Ośniałowski. Niebieskooki, wysokoczoły, natchniony poeta, wyłącznie liryczny, z wyboru. A na przedmieściach Warszawy, w okolicy Fałenicy rwał wrzosa, które później sprzedawał na rogu Alej Jeruzolimskich i Nowego Świata, pod Klubem Prasy i Książki. Ciekawe, czy oglądali poetę partyjniacy od kultury z okien KC. Mieszkał na ulicy Brzeskiej we wspólnym pokoju, a już sama Brzeska jest straszonym przedmieściem – zaułkiem. Marian tę ulicę lubił, bo Marian Ośniałowski wszystko i wszystkich lubił.

Na pewno lubił również dwie ciotki Lubomirskie, mieszkające w Paryżu, o których wszyscy piszący o Ośniałowskim chętnie wspominają i to nie wiadomo dlaczego. Ciotki jak ciotki, widocznie małą rolę odegrały w życiu Mariana, bo mimo że mieszkaly w Paryżu, to właśnie w Paryżu Marian Ośniałowski – niejako pod ich bokiem – popełnił samobójstwo. Podciął sobie żyły. Tyle, że nie na przedmieściach, ale w Łasku Bulońskim.

Los – w przypadku poetów zazwyczaj ujawnia się biedą – jak się weźre w człowieka, to nie odpuści go ani na Brze-

*Noc szafirowa teraz
na czeremchy spada białość.
Ktoś się nad tobą pochyli
i powie ciepłym głosem:
niczego nie bój się.*

(„Smierć” 1959)

Autentyczny, nadliryczny lyryk, zaczynał jako aktor w Częstochowie i ten czas w jego życiu zaowocował umiejętnością recytacji wysokiej, śpiewnej, natchnionej. Brzmienie bardzo patetycznej, lirycznej strofy połączone z nadmierną muzycznością wypowiedzi aktorskiej, dawały często zaśpiew za wysoki, niemodny, ale odbiorca nie pozostawał obojętny. Poeta albo mijał się ze słuchaczem, albo trafiał. „Nagły muzyki poryw – skąd? / – Tam w lutym kwitnie bez. / Szarpacie nerwami gorący ton, / Romanca Portuguez.” Była w Marianie jakaś stanowczość sądów przy równoczesnej tolerancji. Wydaje się, że wszyscy artyści obdarczeni talentem są stanowczy w decyzjach artystycznych. Nazwałbym to – charakterem artystycznym. Ludzie sztuki są mocniejsi od ludzi innych zawodów, bo ich zajęcia niekonkretne, bezetatowe, wieloczasowe, wymagające wiedzy i odpowiedzialności za jej przetworzenie i tworzenie wartości często nowych – wymaga siły. W najtrudniejszych latach stalinizmu Marian Ośniałowski, żeby żyć, sprzedawał wrzosa. Pisarzami prawdziwymi zostają tylko ci, którzy mają w sobie śmiałość. Wiedzie ich myśl otwarta.

A w gestach Marian był miękki, płynny, elegancki, błękitny. Poeta. W latach sześćdziesiątych pojechał

ferencję, posadzoną Mariana u szczytu długiego, nakrytego sukniem zielonym stołu i działacze mówili o potrzebach i osiągnięciach ich terenu. Marian Ośniałowski słuchał wystąpień z głową wspartą na rękę. W pewnym momencie uniósł dwa palce do góry i swoim cichym, melodyjnym i z lekka afektowanym głosem zapytał, czy może o coś spytać. Zaległa cisza. Towarzysz z Warszawy będzie mówił. „Proszę państwa – zaczął Marian – ja chciałem państwa tylko zapytać, czy w tych okolicach są wilki???” Aktywistom opadły szczęki.

Jednym przypada Nobel – ktoś to nam wyznacza? – innym wspólne pokoje, czynszówki, mijanie i pisanie, bycie aktorem, muzykiem, a jednak tworzenie. Wierszy, jak w przypadku Mariana Ośniałowskiego, ślicznych, odbanalniających zwyczajność, czystych myślowo, które miały być w zamierzeniu poetyckie. I zawsze były poezją. Publicyści poetyccy boją się takiej mowy poetyckiej, bo szybko obnaża, ujawnia niemoc i niemożność.

Marian czytający na wysokim tonie, prawie melorecytujący rozpoetyzowany utwór stwarzał spektakl często dziwny, a czasem komiczny.

Mieliśmy spotkanie autorskie w Koszalinie. W sali konferencyjno-kinowej scena miała wysokość kilku metrów i usadowiono nas na niej jak na szczycie góry. Siedzieliśmy za stołem przykrytym czerwonym sukniem sięgającym podłogi. Ludzi było dużo, później okazało się, że była to publiczność oczekująca na seans filmowy. Ma-

czarne od brudu. Dziękowałem przypadkowi za tę wysoką scenę i za sukno zakrywające od połowy w dół. Ale Marian, kiedy przyszła jego kolej na czytanie, wstał zza stołu i wyznał śpiewnie, że woli mieć bliższy kontakt z publicznością. Wziął krzesło, zaniósł je na krawędź sceny, usiadł, i teraz wyglądało to tak: ja za stołem prezydenckim z twarzą zakrytą dłońmi zasłaniającymi rozpacz, a Marian ze stopą bez skarpety, w brudnym pepegu zwisającym nad głowami czytelników z emfazą wyśpiewujący wiersze. Na znak obycia i swobody wewnętrznej Ośniałowski założył nogę na nogę i upepegowioną stopą kołysał nad głowami zebranych.

I nic się właściwie więcej nie działo, nikt nie rozumiał, nie pojmował, nie słyszał. Wszyscy siedzieli wpatrzeni w zawieszony nad nimi pepog. Nad pepogiem wionęły wierszowane trele Mariana Ośniałowskiego:

*Wieczorami za oknami
Kleine Nachtmusic.*

*Jednakowi, zawsze sami
z tą piosenką du roi Henri*

Marian Ośniałowski nie pił wódki, nie upijał się. Siedzieliśmy kiedyś w nocnym barze. Wszedł Marian. „Napij się?” – spytałem. „Tak” – potwierdził. „Wino?” „Nie. Wódkę.” „Poproszę 50 gram” – zamówiłem. „Nie. Poproszę szklanek – poprawia spokojnie Marian – i proszę nalać do pełna.” „Całą?” – upewnia się barman. „Całą” – potwierdza Marian, przechyła szkło i jednym haustem wypija to morze wódki. Odstawił szklanekę i powiedział spo-

R Y M Y

~~Leszkowi Szymańskiemu~~

O czymś trzeba pamiętać.
O kimś trzeba zapomnieć.
Kiedy zasnąć nie mogę,
przychodzą wiersze do mnie.

O kolorowych aniołach,
o królewnach nieznanach
śpiewają,
nocami letnimi, preriami, szumem oceanów
pijane.

Śpiewają o podróżach
w rozśonecznione miraż, w grające
oddale.

Ażebym w nocie bezsenne
nie nudził, nie męczył się wcale.

WARSAWA
koniec
paryż

KOWSKI

KRACIE

ACIE

bowtó- takiego współnika. Zauważył, iż ręce Galusa drżą nieustannie, denerwująco. Tak wpadka rozkleiła go. —
Ga- Był pewien. Uczuł niepokój podskakujący do gardła.
war- Z okienka przybiegł babski głos:
I pe- — Józiu, nie zapomnij butek!
Więc Ożył się:
— Bułki... — zastanowił się ten w kracie.
za- — Stara — burknął Kaczor. Myślał o kobiecie, która wołała na chłopca. Okienko wychodziło na podwórze kamienicy. Widać było szary kawał przeciwległej ściany.
ewal lecz — Galus westchnął. Oczy jego były rozbiegane, płoszyły się. Spotkawszy spojrzanie Kaczora wyjaśnił śpiesznie:
za- — Reumatyzm, lamie w kościach. Pociągnął opadające spodnie. Mruknął:
potkę. — Złe, że zabierają paski.
prze- Był bardzo chudy. W jego gaciach zmieściłyby się jeszcze jeden taki.
wiat, już wyciągnął rękę i zasłuchał się.
Sta- — Tramwaj — powiedział szeptem
ność, — na pewno „dwójka”. Jedzie pod sam dom... do mnie.
po- — Gdzie tam tramwaj — przeciął Kaczor — stąd nie słychać.
Ude- Na wierzchu dłoni Galusa widać było półkłęży z gwiazdami. Gwiazdy też bardzo wyblakłe. Kaczor policzył je. Trzy.
chem już — Galus potarł policzki. Zachrzącił zarost.
Ka- — Nim wezmą — mówił — każę mi sobie fryzjera. Ładnie go. Westchnął jakby kłusując za fryzjerem. Kaczor sprzątał nań podejrzliwie. Sam miał zarost nikły — puszek prawie. „Może stary kpi” — przyglądał pogniecioną kłapę. Splunął na dłoń, próbując rozetrzeć zalamanie. Dostrzegł wiele plam. Spoglądając na największą, zajmującą pierś, powiedział marzycielsko:
wre- — To było... w „Smakoszu”.
ze. Ten w kracie, który zalał się wtedy, podniósł głowę. Uśmiechnął się słomkowo. To on zrobił Kaczorowi te

— Do końca sypanie, do końca! — z desperacją machnął ręką.
— Uważaj — warknął ten w kracistej marynarce — tytoń. Ostrożnie skrecał papierosa. Z podwórka doleciał hałas. Pięk. Śmiech.
— Może już gada ze śledczym — rozmyślał Kaczor. W tym pokoju jest biurko, w kącie zielona szafa. Protokół. Śledczy zapisuje skwapliwie. Uśmiecha się. Pocięsza.
Ten w kracistej marynarce dopalał już papierosa, gdy Kaczor odezwał się. — Trach. Podpisał.
— Minęła godzina, może więcej, kiedy rozróżnili na korytarzu kroki... Energetyczne, szybkie — należące do milicjanta. Powłóczyste — to szedł Galus. W drzwiach zakaszał ciężko. Krztusił się wybaluszając oczy.
Drzwi zatrzęsły się ciężko. Galus rozczłapał się. Westchnął: — Ale tam gorąco... Mówiłby więcej, lecz dostrzegłszy twarz Kaczora przerwał. Kaczor uderzył krótkim sierpem. Głowa Galusa odbiła się o ścianę.
— Lachudro! — wykrztusił Kaczor. Trafił w nos. Ten w kracistej marynarce zaszedł z boków i machnął też. Galus mamrotał coś, prychając jak kot. Upadł. Nie zrozumieł. Grzebał się na beton. Rybio otworzył usta. Pięść Kaczora rozciągnęła go równo przy kiblu. Zakrył twarz. Kopnieli parę razy. Stęknął, mocno zacisnąwszy palce na oczach. Przeszali śluc, Kaczor spoglądając na leżącego powiedział, dysząc:
— Charakternie zrobione, sam chyba wiesz najlepiej.
Ten w kracie odgarnął włosy. Rece wytarł o spodnie.
— Zapaliłbym — powiedział ochryple. Zwrócił twarz ku krwjom.
— Idzie, gliniarz idzie — szepnął. Zaslonił Galusa, który leżał spokojnie. Wpatrywał się jednym okiem w ścianę. Drugie sino zapuchnięte przymknął. Z nosa szedł ślad krwi aż po brode. Wyglądał wstrętnie.
— Już rozprutowany kapuś — pomyślał ten w kracie.
— Myślisz, kłócił się z zamkiem. Szarpnął. Klął. Przeszawał. Wtedy posłyszeli cichy, lecz wyraźny szept z betonu:
— To po was... Gadaćcie, jak myślicie, jeśli się, ja nic więcej nie powiedziałem.

Ten w kracistej marynarce rżał na Kaczora. Kaczor ogłębionie pokryte grubymi żyłami. Drzwi uchyliły się.
— Następnym do golenia — powiedział milicjant z uśmiechem.
Widać, ich twarze były dziwne, gdyż przestał się śmiać i tylko skiniął na Kaczora. Ten w kracistej marynarce zaklął szpetnie. Został sam z Galusem, któremu wciąż ciekła krew z nosa. Zerknął ukradkiem. Dostrzegł na opartej o kibel dłoni starego zablocony ślad o obcasie. Jego, czy mój... — zastanawiał się. Wyciągnął ułożoną starannie chustkę. Była śnieżnobiała, nieużywana. Przed wpadką wziął ją z domu.
— Wytrzymaj się — powiedział niewyraźnie. Śledził palce Galusa, wolno bębniące w pokrywę kibla.
Zdawało mu się, że Galus skrzywił się boleśnie.
— Wszystko przez tego gówniarza — dodał szybko — ja od razu wiedziałem, że ty nie... — Nie wiedział co powiedzieć dalej. Bębnienie w kibel ustalo. Galus syknął dotykając wargi.
— Pieczee... Ty też nie kiepsko bijesz — wskazał na spuchnięte, burakowego koloru ucho.
— Iiii — zwałpł ten w kracie. — Pary w łapie to ja nie mam.
— Masz, masz... — nie zgodził się Galus.
Ten w kracistej marynarce uściadł na brzegu nary.
Leży jak w łóżku po wielkim pijanstwie — stwierdził patrząc na beton.
Galus, unosząc głowę, odezwał się leniwie:
— Dobrze, że tego wszystkiego z moją gębą nie zrobiliście przed... Na górze jest moja kobieta.
— Piecze — znów syknął i leciutko musnął wargę. Ten w kracistej marynarce pokręcił przecząco głową. Wiedział, że przed, na pewno nie zrobiliby tego.
— Piecze jak cholera — stęknął Galus.
— To on cię tak zalał — pośpieszył z wyjaśnieniem ten w kracistej marynarce. Palce zacisnął na jedynym guziku marynarki.
Pociągnął silnie. Guziki ustąpił wraz z kawałkiem tego amerykańskiego materiału w delikatną niebieską kratkę.

Tadeusz Nowak
Pielgrzymka

Wszyscy odeszli. Jak tynk, oblok
cyspuje się na osikowe wody.
Wstąpiła się trawo.

wykorzystując motyw wesela, jeden z kluczowych w literaturze polskiej, ukazał reguły sprawowania władzy w wymiarze małomiasteczkowym, a także pragmatyzm postaw społecznych, który unieważnia tradycję i niszczy wszelkie kodeksy wartości. Poetyka realizmu peryferyjnego pozwoliła też wyrazić Nowakowskiemu podstawowe dylematy własnego pisarstwa. Obficie przejawiający się w jego dorobku nurt autotematyczny (ROBAKI; 1968; KSIĄŻĘ NOCY, 1972; CHŁOPIEC Z GOŁĘBIEM NA GŁOWIE, 1979) zaświadcza o pojmowaniu własnej pozycji jako położenia "pomiędzy" - pomiędzy światem marginesu społecznego i centrum, do którego należy literatura, pomiędzy autentycznością lumpa i nieautentycznością ról podsuwanych przez kulturę oficjalną, pomiędzy barwnym acz dosadnym językiem półświatka i martwym językiem gazetowym czy literackim. W tomach RAPORT O STANIE WOJENNYM (1982-1984), NOTATKI Z CODZIENNOŚCI (1983), DWA DNI Z ANIOŁEM (1984), WILKI PODCHODZĄ ZE WSZYSTKICH STRON (1985), GRISZA, JA TIEBIA SKAŻU (1986), tomach, z których pierwszy zapewnił mu europejski rozgłos, ukazał Nowakowski - portretując codzienne życie przeciętnych obywateli - proces historyczny, w wyniku którego całe społeczeństwo znalazło się na marginesie totalitarnego państwa ze względu na wyznawany i praktykowany przez siebie kodeks wartości.

Tendencyjność ową zaczął przełamywać Nowakowski dzięki rozważaniom autotematycznym, które pojawiły się w tomach POTRET ARTYSTY Z CZASÓW DOJRZAŁOŚCI (1987), KARNAWAŁ I POST (1989) oraz w kluczowym dla tego problemu opowiadaniu BOŻYDAR z tomu GRECKI BOŻEK (1993), w którym pisarz ułokował siebie samego na peryferiach społecznych, izolując się tym samym od wszelkiego zaangażowania i powierzając literaturze rolę przekazicielki prawd najbardziej drażliwych - samotności twórcy, biologicznego przemijania, bezwzględności jako reguły współżycia społecznego. Postawa ta była zapowiedzią serii utworów o nowej Polsce, takich jak HOMO POLONICUS (1992), GRECKI BOŻEK (1993), STRZAŁY W MOTELU GOERGE (1997), ukazujących Polskę przelomu lat 80. i 90. jako bazaru - miejsca, gdzie wszystko i wszyscy są do kupienia. Przeciwwagą dla tego obrazu przemiany więzi społecznych w relacje handlowe były nostalgiczne powroty do Warszawy tuż-powojennej i jej barwnego półświatka, zaludnianego przez oryginałów, dziwaków i "przestępców z klasą" (POWIDOKI, 1995, 1997).

"Popatrzyłem na biurko zaścielone papierami. Pisanie jako obrona. Odpowiedź na atak. Strefa wolności. Tylko moje." (z tomu: "Grecki bożek")

Bibliografia:
cepsciowa

- TEN STARY ZŁODZIEJ, 1958.
- BENEK KWIACIARZ, Warszawa: Czytelnik, 1961.
- SILNA GORĄCZKA, Warszawa: Czytelnik, 1963.
- TRAMPOLINA, Warszawa: Czytelnik, 1964.
- ZAPIS, Warszawa: PIW, 1965.
- GONITWA, Warszawa: Czytelnik, 1967.
- ROBAKI, Warszawa: PIW, 1968.
- MIZERYKORDIA, Warszawa: Czytelnik, 1971.
- UKŁAD ZAMKNIĘTY, Warszawa: PIW, 1972.
- KSIĄŻĘ NOCY, Warszawa: PIW, 1978.
- ŚMIERĆ ŻÓLWIA, Warszawa: Czytelnik, 1973.
- WESELE RAZ JESZCZE, Warszawa: PIW, 1974.

Powidoki, 1995
Strzały w Hotel Beorgie, 1997
Empire, 2001

Chłopiec z Gołębiem na głowie, 1979
Raport o stanie wojennym, 1982-4
Notatki z Codzienności 1982/3
Dwa dni z Aniołem 1984
Wilki podchodzą ze wszystkich stron, 1985
Grisza Ja Ciebie skażę, 1986

Portret Artysty z czasów Dojrzałości 1987
Karnawał i Post 1989

6/2/2006



MAREK NOWAKOWSKI



Urodzony w 1935 w Warszawie, jeden z najpłodniejszych prozaików polskiej literatury powojennej, mistrz małych form narracyjnych, twórca realizmu peryferyjnego.

Debiutował w 1957 r. opowiadaniem KWADRATOWY na łamach "Nowej Kultury", które sygnalizowało - potwierdzony przez zbiory opowiadań TEN STARY ZŁODZIEJ (1958) i BENEK KWIACIARZ (1961) - pierwszy obszar ukazywanej przez pisarza peryferyjności. Był to świat marginesu, lumpów, prostytutek, doliniarzy i paserów, żyjących na marginesie spraw i kodeksów "normalnego" społeczeństwa. Półświatek ten stanowił tyleż przedmiot opisu, co fascynacji twórcy ze względu na - opiewaną niczym w TORTILLA FLAT Steinbecka - barwność: lump i jego subkultura charakteryzowali się, w ujęciu Nowakowskiego, okrucieństwem, ale i rygorystycznym respektowaniem własnego kodeksu, niezależnością wobec ideałów mieszczańskiego dorobku, ale i solidarnością wewnętrzną.

W kolejnych tomach (powieść TRAMPOLINA, 1964; zbiory opowiadań SILNA GORĄCZKA, 1963; ZAPIS, 1965; GONITWA, 1967; MIZERYKORDIA, 1971; UKŁAD ZAMKNIĘTY, 1972; ŚMIERĆ ŻÓŁWIA, 1973) pisarz poszerzył krąg peryferyjności: umieścił w nim - obok bohaterów dotychczasowych - także ludzi przeciętnych, zwykłych, nieważnych (urzędnik, sklepikarz), którzy wiodą żywot na swoją miarę, do momentu, gdy doświadczają poczucia "osaczenia" - poczucia absurdalności norm, którym się podporządkowali i które nie pomagają odpowiedzieć na najważniejsze pytania egzystencjalne. Odkrywszy swoje położenie wewnątrz "układu zamkniętego" wychodzą z niego, trafiając na peryferie, gdzie - wolni od dotychczasowych rygorów - mogą, stopniowo pograżając się w abnegację (lub w alkoholizm, psychiczne obsesje czy utracjuszość), dążyć do autentyczności rozumianej przez pisarza w tym zakresie jako istnienie bezcelowe.

Literacko najdoskonalszym i poznawczo najbardziej odkrywczym utworem tamtego okresu było opowiadanie WESELE RAZ JESZCZE (1974), w którym Nowakowski,

«tactyka», pisanie o sobie samym grozi zerwaniem wszyskością swoich ków towarzyskich i to obojętnie, czy napiszemy dobrze, czy źle. Różnica zachodzi tylko w motywacji naszego potępienia, w pierwszym wypadku za grzech zostanie uznana mania wielkości, w drugim — też sama mania z dodaniem kokieterii. Już ten prosty aspekt psychologiczny wyklucza pełną szczerłość wypowiedzi bardziej osobistej. (...)

Posażano mnie, że jestem fanatycznym zwolennikiem klasycznych struktur formalnych, bronię mnie wszyscy święci od takiego posążenia, nigdy nie mówiłem, że liczba sylab zawarta w jednym wersie stanowi o wartości utworu. (...) ...ale: wiersz oparty na kanonach klasycznych wydaje mi się bardziej współczesny (co nie znaczy, że tylko wiersze pisane wedle tych kanonów są współczesne) z dwójga względów:

Wiersz zbudowany według jakiegoś stałego wzorca formalnego jest znacznie trudniej podrobić niż tzw. wiersz wolny, co bynajmniej nie znaczy, że jest to struktura nie do podrobienia (...).

O ile powyższy względ jest dla mnie dość prostym (prostactkiem?) kryterium w ocenie wierszy, o tyle względ poniższy wydaje mi się argumentem zasadniczym. Aktualnie — tak mi się wydaje — stoimy u krewności (może tylko przejściowo?) odkryć formalnych bazujących z jednej strony na posługiwaniu się gramatyką przeciw gramatyce, na poszukiwaniu coraz to nowych zawiąsów fonicznych itp., a z drugiej: na poddawaniu logiki i zdrowego rozsądku działaniu sił cudownych i nadprzyrodzonych, na różnych strumieniach świadomości, na zupełnym odarciu wiersza z figur stylistycznych albo na pisaniu wyłącznie figurami stylizacyjnymi. Dalsze eksperymentowanie w tym zakresie jest już tylko rażącym maniactwem: «Patrzcie, nikt jeszcze nie pisał stawiając litery do góry nogami», o ile oczywiście litery mają nogi. Stąd wniosek, że obecnie generalnie należałoby przyjąć zasób form, w jakie wyposażyła naszą świadomość tradycja, z jednym zastrzeżeniem: bez dobrodziejstwa inwentarza. (...)

Zgoda na stylizację (?) nie oznacza wcale zgody na proponowane w teje stylizacji wszystkie odkrycia, od filozoficznych począwszy. Doskonalszych przecież pod względem zgodności z przepisem sonetów Grochowiaka nie można postawić obok, równie doskonałych formalnie, sonetów Staffa czy Kasprowicza. (...) Grochowiak nie naruszając „zewnątrzego wyglądu” sonetu rozsądził go niejako od wewnątrz. Tak więc z jednej strony zmusił sonet do obcowania z «wyznaczającymi go» awangard, z drugiej zamknął w tej «arcyzachowawczej strukturze» treści, jakich nigdy nie spodziewaliśmy się po sonecie. (...)

Tyle o strukturach formalnych, a wypływające stąd konsekwencje pozostawmy do oceny czytelnicy. Czytelnikowi przede wszystkim, a nie krytykowi, należy się prawo sądu, na ile utwór odpowiada jego gustom, na ile jest mu potrzebny. A komentarz filozoficzno-teoretyczny?... to tak jakby zamiast obiadu podano nam w knajpie kartę zawierającą szczegółowy opis produktów i technologii do sporządzenia potraw”.

SLAWOMIR KRYSKA



BOGDAN LOEBEL

Pocztówka dziewiąta

„Więc jednak żyjesz” — oto jest pytanie które czytałem w spotkanych oczach mych znajomych sciskając moją rękę niby przypadkowo sprawdzają puls i mierzą ną temperaturę „Tak, żyję” — mówię „Świetnie wyglądasz, jak nowy” „Wymienił mi tłoki, dali świeży lakier” „Tłoki z importu?” „Nie wiem, byłem nieobecny” „Najważniejsze że jednak” „Tak, to dość istotne” „Zdzwonimy się” „Koniecznie” „Musimy pogadać” Ruszam odprowadzany uważnym spojrzeniem

Pocztówka szesnasta

Dzisiaj wbiegłem na ulicę przy czerwonym świetle jednak w połowie drogi zamieniono kolor krwistej czerwieni na czerni ale czarne światło

mnistrz pieścił swą kamienną wdowę
bo tylko
straszyla Notre Dame
wiedzą jak płakać french cancana

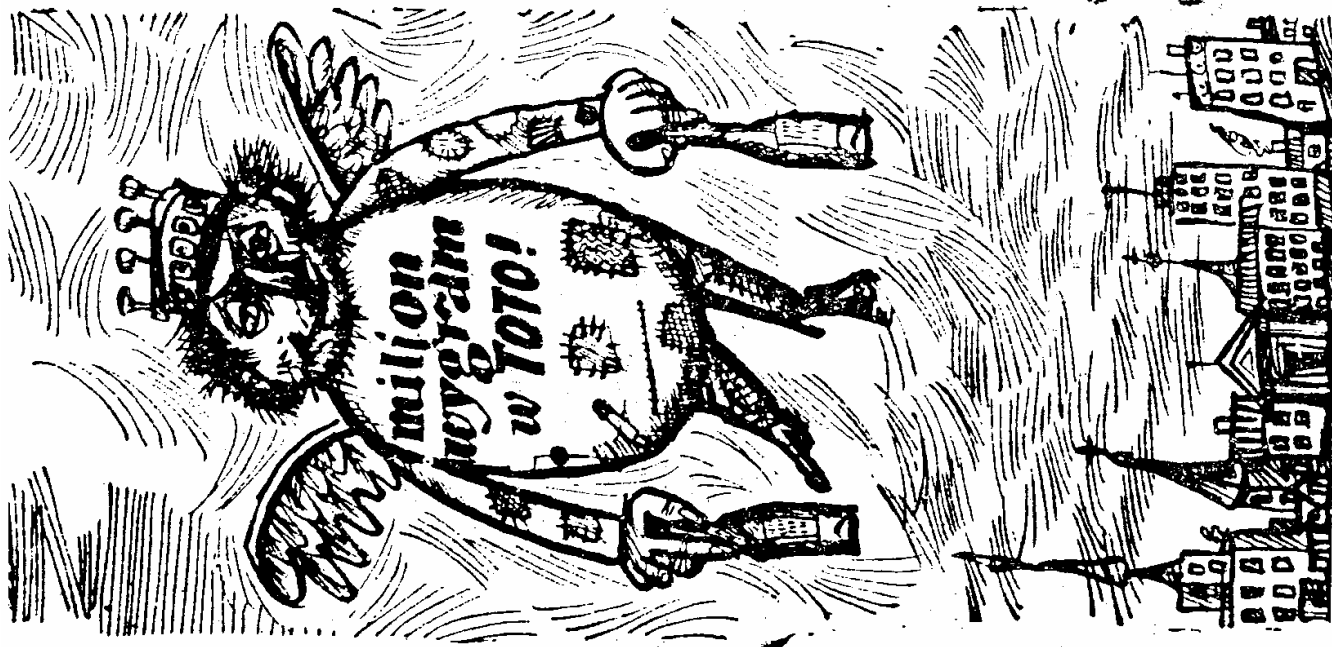
Zapewne „Współczesności” brakowało programu, przynajmniej takiejowy nie był nigdy wyartykułowany, ale ileż to wspaniałych programów zwiastujących nową erę poetycką, programów poprzedzających praktykę literacką, dzisiaj pozostaje znanych tylko historykom literatury — nie trzeba daleko szukać, wystarczy rozejrzeć się po naszym stuleciu. „Współczesność” zaczęła od praktyki poetyckiej, nie od formułowania poetyk normatywnych, i na praktyce poprzestała. Sądzę, że to stanowi o jej znaczeniu. Acz — oddajmy co komu należy — brak chyba było w piśmie wyraźnej, spajającej idei, o którą prowadzono by zaciekle boje, co zaważyło na dziełach niejednego twórcy wiążącego się w młodości ze „Współczesnością”. Na losach i dziełach twórców — dokończę.

4

W moim skromnym przekonaniu jedną z głównych przyczyn, które tak wysoko wyniosły „Współczesność” było potężenie mocnego akcentu na artystowskie walory dzieł. I ten mocny akcent był również jedną z przyczyn gwałtownego trawienia poła przez twórców związanych z piśmem. W każdym zwycięstwie kryje się zarodek klęski. Wymownym dowodem na ową tezę są ataki, które znosił pod koniec życia, najwybitniejszy bodaj poeta pokolenia, Stanisław Grochowiak i późniejsze, dziesięciolecie już, zniknięcie jego utworów ze sceny literackiej. Podobny los, choć w różnym stopniu, dotykał i innych pisarzy związanych z dwutygodnikiem, ale żywi mogą się jeszcze bronić.

Przypuszczam, że nadchodzi moment rewizji poglądów wobec pisma, a więc i dzieła związanych z nim pisarzy. Ich utwory nie są wcale tak wyprane z treści i idei, jak chcieli to widzieć np. tzw. nowofalowcy. Ujawnionej na łamach „Współczesności” filozofii nie da się zakleić małą etykietką z napisem „turpizm”. Tak jak nie można wzmówić pisarzem tu obecnym obojętności wobec świata im współczesnego... Takowej nie było chociaż świat nie był przedstawiany w nachalnie moralizatorskim czy w gazetowym kształcie. W końcu wiersz czymś się musi różnić od wstępniaka. Wymakowane formy kryły — jeśli tak można rzecz — sedna spraw człowieczych. Prawda, czasem tak dokładnie, że już ich nikt i nigdy nie odnajdywał. Ale tylko z czasem. I są to naturalne koszty ponoszone przez wszystkich, którzy zabierają się do uprawiania sztuki.

Korzystając z faktu, że powyższe refleksje mają wyjątkowo kształt osobistych wspomnień, przywołam w obszernych fragmentach własną wypowiedź z rubryki „Poeci o sobie” („Współczesność” nr 24/1962). Dziś te uwagi wydają mi się bardzo niepełne, niemniej pod zwerbalizowanymi mogłbym się podpisać i teraz. Przytaczam je również dlatego, że w ograniczeniu tych uwag wprowadzającym się do artystowskiego podchodzenia do wierszy, przy zbywaniu mimochodem treści, odbijają się podchodzenie do twórczości, niejednej z osób związanych ze „Współczesnością”. Odbi-



sunek J. Miodożenca we „Współczesności”. Fot. F. Matuszak.

pisma autorzy. Wreszcie, co dzisiaj może się wydać ewenementem, zad-
na z osób wymienionych wtedy w stopce redakcyjnej nie przekroczyła
trzydziestego roku życia, a młodość ma prawo do uludy. Równocześnie
przebieg „Współczesności” była liczącym się czasopismem z gatunku „spo-
łeczno-kulturalnych”, choć bliższe prawdy wydaje mi się określenie
„kulturalno-literacki”. Teraz, kiedy jako młodzieńcy występują ludzie
trzydziestopięcioletni, a bodaj czterdziestopięcioletni, „Współczesność” tak z uwa-
gi na skład redakcji, jak i lwiej części publikujących tutaj, rzeczywi-
ście reprezentowała młodych, pewnie bardziej wówczas pisarzy niż spe-
niaż pisarzy, chociaż oni sami o sobie...

Zespół redakcyjny, którego nazwiska opublikowano w stopce
w styczniu 1960 roku był dziesiątym zespołem w trzydziestopięcioletniej histo-
rii pisma. Ta „płynność personalna” została zahamowana pod koniec
1958 roku, co zbiegło się ze zjawieniem w redakcji Stanisława Grocho-
wiaka. (O jego roli w dwutygodniku pisałem w poprzednim numerze).
Pismo znalazło wreszcie mecenasa państwowego „Wydawnictwo Prasowe
Ruchu” — wtedy „Ruch” był oddzielony od RSW „Prasa”, wkrótce
jednak powrócił do tegoż przedsiębiorstwa — a państwowy mecenas
nie mógł sobie pozwolić na to, by X po kłótni z Y występował z hukkiem
z kolegium redakcyjnego, by po miesiacu, gdy z okazji następnej kłótni
Y ostentacyjnie opuszczał kolegium, X do tegoż kolegium w glorii po-
wracał. Już wtedy, sądząc, zaczął się proces „ustateczniania buntu”.
Pierwszy okres tego „ustateczniania” zdecydowanie wychodzi „Współ-
czesności” na zdrowie, choćby z racji stabilności personalnej. Wszakże
dosyć powszechnie uważa się, że lata 1959—1962 (może tę drugą datę
należałoby trochę dalej przesunąć w czasie) są najbardziej znaczącymi
latami dwutygodnika. Największy był wówczas zasięg jego oddziały-
wania i stał się on synonimem całego pokolenia. Stał się — jak
widać obecnie — ponieważ na jego łamach, w mniejszym lub większym
stopniu, znajdowała odzwierciedlenie twórczość nieomal wszystkich
osób dzisiaj już trwale zapisanych w kulturze czterdziestolecia, a dwa-
dziesiąta, trzydziści lat temu liczących sobie właśnie tyleż lat życia.
Po 62, a może 63 czy 64 roku niejako wyrastali oni z dwutygodnika
poszukując własnego, oddzielnego miejsca w literaturze.

2

Wyjaśnijmy od razu, że dział poezji nie był jakąś urzędowo wy-
odrębnioną komórką, której pracę (?) weryfikowało kierownictwo. Pra-
ca była w ogóle ostentacyjnym zaprzeczeniem wszelkich form urzęd-
lenia. Aż do przesady. Wiersze przynosił wszyscy członkowie zespołu,
kwalifikowali do druku — jeśli można tak rzec — też wszyscy. Oczy-
wiście największą aktywność w dyskusjach o poezji przejawiali redak-
cyjni poeci: Witold Dąbrowski, Bohdan Drozdowski, Stanisław Grocho-
wiak, Roman Słirwonik, później Jerzy S. Sito i oczywiście niżej podpi-
sany. Moja rola sprowadzała się właściwie do porządkowania zebranego
materiału, wstępnej selekcji wierszy nadesłanych, ustalania następstwa
druku czy liczby publikowanych utworów w kolejnych numerach. Choć
w tym ostatnim względzie dużo do powiedzenia miał redaktor technicz-
ny Mirosław Malcharek i w ogóle ci, którzy opiekowali się w danym
momencie kształtem graficznym Wierszy. *Wen. Wierszyści. Trz. 1962. 20*

z drugiej strony — o, przyziemności! — wiersz w układzie graficzny
pisma pełni rolę prawie tak ważną jak ilustracja, zdobne literówki
tytułów itp.

Jedyności w kierowaniu na łamy trudno się było czyzy-
cie spodziewać po kolegiantach. Kiedy człowiek ma dwadzieścia pa
lat, wie doskonale, co jest sztuką, a co nią nie jest. Tę zelazną wied
dopiero z czasem jak rdza nadgryzają wątpliwości i skleroza. Pamięta
boje, jakie staczałem przeciwko publikowaniu debiutanczkiego poemata
Macieja Bordowicza, uważając tenże poemat za fatalny. Przeciwniej
zdania był Bohdan Drozdowski i w tym sporze, muszę przyznać, mi
rację. Bordowicz, co dla anegdoty odnotuję, jeszcze dziesięć lat późni
przy okazji, powiedzmy, jakiegoś symposium literackiego, czynił mi
określenie to tak — delikatne wyrazy... Zresztą i po dwudziestu lata
zdarzyło mi się spotkać osobę wyrażającą się o mnie bardzo nieelegan-
cko ponieważ nie zakwalifikowałem jego utworów do druku (ja?). Kr-
tyka można zlekceważyć, wyszydzić jak to czyni poeta:

Próżność repliki się spodziewał,

Nie dam ci prytyczka, ani kłapsa,

Nie powiem nawet: pies cię je...

Bo to megalians byłby dla psa.

własny utwór bowiem ujrzał już światło dzienne. Tego, który dc
słownie utrupił nasze dzieło grzebiąc je w szufladach biurka pamięt
się znacznie dłużej...

Nie, nie znam jeszcze żadnej sprawy o zabójstwo redaktora cz
szefa wydawnictwa przez „odrzuczonego” autora. Chociaż wydarzył si
w Polsce wypadek, kiedy to po ukazaniu się w „Musze” w roku 189
rymowanej recenzji z powieści Władysława Grajnera, zasitził g
Buchnera, ten ostatni broniąc się przed napadnięciem pióra Władysław
Niemieci Stanisław Grochowiak często wspominał pewną niezrównowa
żoną psychicznie autorkę, która po zdyskwalifikowaniu wierszy próbowa
ła udusić poetę zaciskając mu na szyi jego własny krawat.

Niedużników, frustratów, ludzi psychicznie rozchwianych cz
pospolitych grafomanów przewinęło się przez redakcję bardzo wielu —
to normalne. Natomiast nie tak często w historii literatury mamy d
czynienia z taką „banią poezji”, jaka rozbiła się nad „Współczesnością”

Debiutanci czy prawie debiutanci — ładnie się wyrażając —
kształtowali oblicze poetyckie dwutygodnika. Nie znaczy to, że skąpil
swoich słów piśmu poeci dojrzałi i to bardzo różnymi orientacji arty-
stycznych i sympatii politycznych. Chociaż ci ostatni występowały głow-
nie jako dyskutanci, krytycy, zresztą nie stroniący od mentorskich to-
nów. Pojawiają się w piśmie nazwiska Przybosa, Ważyka, Stanisława
Ryszarda Dobrowolskiego...

Dla zobrazowania poprzedniego zdania przedstawię, oczywiście
niepełny, indeks poetów publikujących we „Współczesności” w latach
1956—1962: Wanda Bacewicz, Andrzej Bartynski, Edward Bernstein
(znany obecnie jako reżyser pod nazwiskiem Żebrowski), Jan Bester,
Miron Białoszewski, Wojciech Bienko, Zdzisław Jerzy Bolek, Maciej Ze-
non Bordowicz, Andrzej Brycht, Ernest Bryll, Andrzej Bursa, Stanisław
Chaciński, Nikos Chadzinikolau, Bogusław Chojński, Stanisław Swen
Czachorowski, Jerzy Czajkowski, Bogdan Czaykowski, Adam Czerniaw-
ski, Jan Czornik, Mirosław Czuma, Mirosław Czuchra, Stanisław Czuchra

Krzysztof Gašiorowski, Józef Gielo, Tomasz Gluziński, Stanisław Grochowiak, Jerzy Górzański, Marian Grześczak, Jerzy Harasymowicz, Zbigniew Herbert, Małgorzata Hillar, Stanisław Horak, Edward Hołda, Ireneusz Iredyński, Henryk Jasiczek, Zbigniew Jerzyna, Janusz Jęczyński, Salomea Kapucińska, Wojciech Kawinowski, Tadeusz Kijonka, Małgorzata Komorowska, Janusz Koniusz, Anka Kowalska, Urszula Kozioł, Sławomir Kryśka, Jadwiga Kukuczanka, Jan Kulka, Joanna Kulmowa, Czesław Kuriata, Peter Lachmann, Bogdan Loebl, Bolesław Lubosz, Tadeusz Łojek, Sławomir Lubiński, Jacek Łukasiewicz, Witold Maj, Dionizy Maliszewski, Andrzej Mandalian, Ludmiła Marjańska, Jarosław Mariewicz, Leszek Mech, Krystyna Miłobędzka, Leszek Moczulski, Zdzisław Morawski, Tadeusz Nowak, Janusz Odrowąż-Pieniążek, Marian Osiałowski, Joanna Pollakówna, Halina Poświatowska, Józef Ratajczak, Zbigniew Ruciński, Jarosław Marek Rynkiewicz, Barbara Sądowska, Zygfryd Sawko, Roch Sęczawa, Jerzy Stanisław Sito, Jerzy Skolimowski, Arnold Stucki, Teresa Socha-Lisowska, Edward Stachura, Maria Szypowska, Tadeusz Słowiak, Roman Śliwonik, Florian Śmieja, Bolesław Taborski, Andrzej Tchórzewski, Jacek Trznadel, Jerzy Walenciuk, Danuta Wawiłow, Marek Wawrzekiewicz, Bogusław Żurakowski...

Przedstawiona wyżej lista poetów pozwala na stwierdzenie, że „Współczesność” była pismem w pełni otwartym — „zbyt otwartym”, jak powtarzali przeciwnicy. Nie obowiązywały przedyktowane światopoglądowe — publikowali katolicy: Anka Kowalska, Tomasz Gluziński, Zbigniew Dolecki i walczący ateści, jak Witold Dąbrowski. Nie obowiązywały granice geograficzne — mamy wiersze poetów zamieszkałych na Zachodzie: Adama Czerniawskiego, Bogdana Czykowskiego, Floriana Śmieja... Nie obowiązywały — oczywiście w pewnym tylko stopniu — nikającym z przyzwolenia na publikację we „Współczesności” zainteresowanych — podziały pokoleniowe, drukowali przecież Wanda Bacewicz, Andrzej Mandalian, Edward Hołda, a także „powtórnie debiutujący” Miron Białoszewski, Stanisław Swen Czachorowski, Zbigniew Herbert. Skrytykowane poglądy polityczne, ideowe miał niejeden autor dwutygodnika — inna sprawa na ile te rzeczywiście różniły się od deklarowanych, jak pokaże niedaleka przyszłość — ale do wyznawanej ideologii przynawano się jakby z zażenowaniem, trochę w publicystyce, mniej w twórczości artystycznej i w rozmowach. Wynikało to zapewne w dużej mierze z obrzydzenia do deklaracji własnie, których pełny był miniony niedawno okres socrealizmu.

Obowiązywało jedno kryterium: wartość artystyczna utworu. Nie były więc również faworyzowane okresione poetyki. Na sąsiednich strunach — co jest niejako symptomatyczne, choć przykładowo dobiaram pierwszy z brzegu — 22 numeru z 1960 roku znajdujemy taki oto wiersz Bohdana Drozdowskiego:

Stuchaj, Wergili, szept ściszy o pół tonu,
Kurz się na warstwia w odrzwiach Panteonu.
Minnesaengerzy, cłowni, trubadurzy
Przeszli przez bramę legendy więc czasu —
insekty brzmiaące u kolumn Parnasu
co foliarami naszymi rajfurzy.

Stuchaj? Cóż prawie przytomny mleczeniu
co się układio jak tur w twoim cieniu
a zując słowo twe — wergiliskość turzy.

Poszukiwanie więc odszukiwane
półki imienia i potomych stanie —
niechaj za miecze i szczyty nam służy.

Przez lochy z pieśni, fasady ze stońca,
przez klekot antykw, który chrebt przetrąca
nakapom ulew i osadom kurzy

idziem, Wergili, przez potacie piekieł
ty, coś człowiekiem był i ja — człowiekiem
w tamczesnej naszej z Charonem podróży.

Stanać tu, słuchać, lubo skroń nachylić
nad brzegiem mgnienia, nad krawędzią chwili
co przed beczasem bierze nas w obronę — — —

Obok wiersza Stanisława Swena Czachorowskiego

MODLIANA

paryz dyszy skorupy z pędziami
noc złoci oczy portretów
księżycu

babski zad w kąplei
za ostatecznym strychem łask
między Boulevard Lefebvre
a rue d'Aubervilliers

pijany malarz cień maluje
akt bardzo chudy i bez nazwy
na martwe ręce

włosa kobiet.

klekają wieczny spleść węzelek

ilu Vincentom

zbrakło

cynobru lez w szpargałach świata

znad Moulin Rouge

do dziś po bruku

rozciąga karzeł białe widmo

schyl twarz

* *

Opowiadał o lądach dotąd nie nazwanych w żadnym języku
i o ludziach o których przedtem nikt nie pomyślał
a w każdą wędrowkę zabierał z sobą toból słów
by rozdać to bogactwo

Nawet na Itace
dokąd zawędrował za Odyseuszem
nie zaproszono go na bezpłatną ucztę
przez całą noc ciągnięto za język
nim do stołu przysiadł

Od trzech tysięcy
za bezcen wiedzie nas suchą stopą
każdego do swojej Itaki
abyśmy sobie mogli się na wylot przyjrzeć

Wypis z księgi parafialnej

W Czarnolesie Anno Domini 1579
grono aniołków powiększyła
Jana i Doroty Kochanowskich trzyletnia córka

Po uroczystych niesporach
chłopi w sukmany wystrojeni
trumienkę z dębiny wyciosaną
w ranę ziemi złożyli

Od zmierzchu do jutrzni
przy świecy z łożu
pan treny pisał
trwałsze od złotej króla korony
piękne niż miecze i pancerze
a pani odurzona zieletem
spała

Jeszcze po Wielkiej Nocy
we wsi się dziwili
że od tego nieróbstwa
tak zmarniał
postarzał się
schudł
i jakby różnej owies zasiali
i posadzili okopowe



Fot. E. Ciołek

Sławomir Kry

WSPOMNIENI

„WSPÓŁCZESNOŚCI

1

Pracę we „Współczesności” rozpocząłem 1 stycznia 1960 roku. Rozstałem się z redakcją w październiku 1962. W kręgu osób tak cenniejsze związane z dwutygodnikiem obracałem się od... od początku.

To miejsce pracy było trzecim w kolejności. Poprzednie jedno na przykład robotnika magazynowego w dużej fabryce, trudno było równać do statusu „etatowego poety”. Nie ma tu uszczypliwości i adresem pracowników fizycznych. Wyobrażałem sobie, że pisarz i kimś, kogo artystyczny duch unosi ponad innych: skrzyżowaniem pióra z moralistą, mędrcą z prawodawcą. Niektórym kolegom, dodajmy bez pewnej złośliwości, owo złudzenie pozostało mimo upływu przynajmniej lat. Ponieważ wychowany byłem w społeczeństwie hierarchicznym, gdzie oficjalne rangi wyznaczają także miejsce w zawodzie np. chirurg-dyrektor szpitala z rangi już musi być lepszy od najgorszego chirurga, który dyrektorem nie jest — sądziłem, że podobny typ myślenia, eufemistycznie formułując, nie jest obcy w literaturze i kulturze. Ale ta psychosocjologiczna uwaga i wyprzedzające się sekwencje to oddzielny temat.

Miałem tedy obejmując dział poezji we „Współczesności” (o, ja, że mi to dumnie brzmiało) ukończone 24 lata, debiutancki tomik wierszy wydany w Płw-ie w 58 roku i — powiedzawszy delikatnie oprócz złudzeń nieco przesadne wyobrażenie o swoich talentach, posłać niktwie etc.

Ujęty z ręką (ur. 2 IX 1924 r. w Warszawie)

- wybitny historyk, pisarz i publicysta.

Ukończył studia historyczne na Uniwersytecie

Wrocławskim, gdzie również doktoryzował się i uzyskał habilitację. Zajmował się historią

polityczną Polski i Europy XVIII-XIX wieku

głównie stosunków między Europą i Rosją

oraz historią najnowszą, zaliczając do

tw. wielkich plan. Jest autorem ponad

350 artykułów i 32 książek, m.in. Strasz

Pomocnictwo listopadowego (1966), Dwie

pięknej Bitwy (1970), Cenzura i obalenie

Konstytucji 3 Maja (1985), Kalendar

historyczny t. Polenica historia Polski/19

Niektóre prace publikował pod pseudonimami

(Antoni Jaboriecki, Leopold Jenerwski,

Lukasz Jodko) w wydawnictwach drugiej

ochrony - m.in. Agresja 17 września 19

Studium aspektów politycznych (1979),

Dwie sprawy Katyńskie (1980), Kalendar

historyczny (1989),
Zmian 7. X. 1986 r. w Warszawie

FUNDACJA im. JERZEGO ŁOJKA

FUNDATORZY

Danuta J. Cisek
Andrzej M. Cisek

PATRONI HONOROWI

Zbigniew Brzeziński
Wacław Jędrzejewicz †
Stanisław Jordanowski †
Ryszard Kukliński
Bożena Łojek
Jan Olszewski
Marek Tarczyński

KOMITET NAGRÓD

Danuta Cisek
Andrzej Cisek
Magda Kapuścińska
Andrzej Myc

DARCZYŃCY

Reader's Digest
PPG Industries
Magda Kapuścińska

FUNDACJA im. JERZEGO ŁOJKA

Decyzja wyboru na patrona Fundacji przedwcześnie zmarłego historyka Jerzego Łojka miała swe głębokie źródła. Celem Fundacji jest zwrócenie uwagi na konieczność budowania zapory dla sowiec ko-komunistycznej dominacji wśród młodszych generacji Polaków urodzonych już po II Wojnie Światowej.

Jerzy Łojek (1932-1986) był wybitnym historykiem chociaż nie znalazło to odzwierciedlenia w stanowiskach i tytułach naukowych. Jako autor licznych książek i publikacji historycznych był jednym z nielicznych historyków, którzy nie dali się złamać politycznym naciskom i pozostali wierni ideałowi swego zawodu, a więc odnawianiu prawdy historycznej. Celem jego twórczości było wykształcenie świadomości historycznej w społeczeństwie polskim, dostrzeżenie w każdej przełomowej chwili realnej możliwości obrania właściwej drogi wiodącej do celu, jakim jest niepodległa i suwerenna Polska.

Jerzy Łojek jako jeden z pierwszych w Polsce podjął temat zbrodni katyńskiej. Nastąpiło to w czasie, kiedy sam wybór temat był wyzwaniem rzuconym sowieckiej dominacji w Polsce i sprawcor zbrodni. Jerzy Łojek pisał i drukował w czasach, kiedy za słów prawdy trzeba było płacić wysoką cenę. Drukował wiele poz cenzurą, kształtując świadomość historyczną wyrabiając wolę walki i zwalczając fatalizm historyczny. Był także wybitnym publicystą i działaczem niepodległościowym.

Fundacja im. Jerzego Łojka jest prywatną fundacją przyłączoną do Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Z zasobów tej Fundacji przyznawane są co dwa lata nagrody wybitnym działaczom niepodległościowym oraz twórcom za prace historyczne, naukowe i popularne, filmy a także dzieła literatury i sztuki, w których autorzy podejmują tematykę walki narodu polskiego w obronie sw tożsamości. Pracami Fundacji im. Jerzego Łojka kieruje Komitet Nagród zatwierdzony przez Zarząd Instytutu Józefa Piłsudskiego. W ramach Fundacji przewidziane są także Nagrody Specjalne pochodzące od osób prywatnych.

Doświadczeń w tej materii. miałem i mam dużo, ale dotkliwie zapamiętałem jedno, bo rodem jest z młodości. Opiekowałem się ^{am/} pewnym równieśnikiem od początku, przeforsowałem jego przyjęcie do Koła Pisarzy, wciągnąłem do pracy w redakcji, poprawiałem prozę tak złą i martwą, że nie można było nawet jej ponownie napisać, a kiedy przyszły kłopoty, które osiągnęły i mnie, i Grochowiaka, B. chta, Iredyńskiego, Himilsbacha i innych, zdarzyło mi się zaćmić i zatelefonowałem do niego w najzbędniejszym odruchu mego życia, żeby o coś zapytać. I usłyszałem w słuchawce, jak facet mówi, że on solidaryzuje się ze środowiskiem, które - jeśli w ogóle jest takie, bo jest to rodzaj towarzystwa - nigdy o nim nie sły-
szano. Jego właśnie spotkał w Londynie Leszek Szymański i pisze o nim ciepło. Za granicą, a szczególnie w Londynie zawsze jeste-
śmy nieco lepsi.

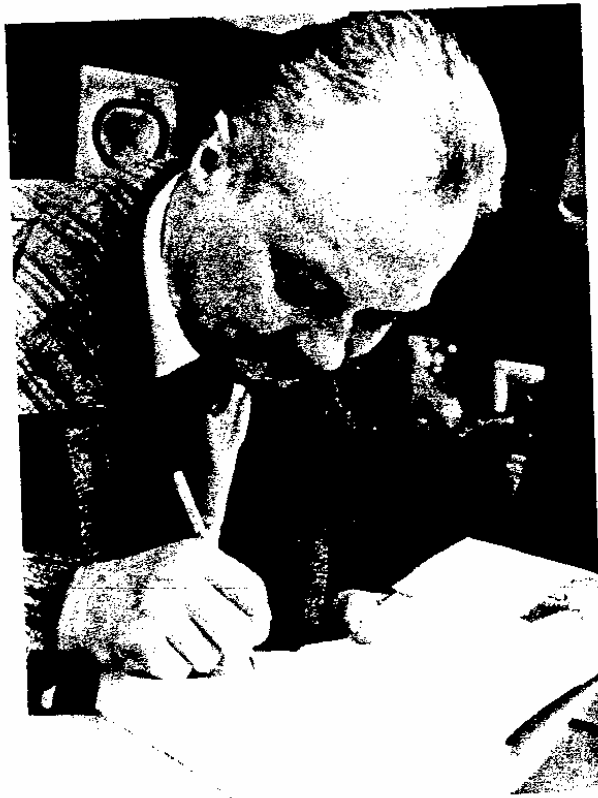
Ważny moment

Była w was ogromna przelewająca się lawina drwiny i to uzasadnionej, o koledzy młodzi pisarze z Koła Młodych Pisarzy w Warszawie przy ZLP, kiedy w naszej auli zespół redakcyjny "Współczesności" zademonstrował pierwszy numer wydanej - jednak wydanej i to było nieprawdopodobne - gazety,...

Kpili wszyscy tak, jak stali i potrosze już pisali. Wszyscy. Blisko sto osób, kilkadziesiąt mężczyzn i kilkanaście kobiet. Kpili, grozili, zdeptywali nas żywcem, darli z nas pasy i nędzne szaty na swoich piersiach.

Mówili, że dno, brak kręgosłupa ideologicznego, grafomania, zła korekta, fatalny tytuł, skandaliczne łamanie kolumn i szpalt.

Lżyli nas rówieśnicy, którzy nie potrafili zrobić korekty własnych wierszy, którzy nigdy nie widzieli drukarni, ani drukarzy, którzy nie widzieli nawet najmniejszej cecionki. Ale pluli. Dlaczego? Jedną z przyczyn...



Jerzy Łojek (1932-1986)





JANUSZ WIESZCZYŃSKI;



photographie Bogdan Borkowski

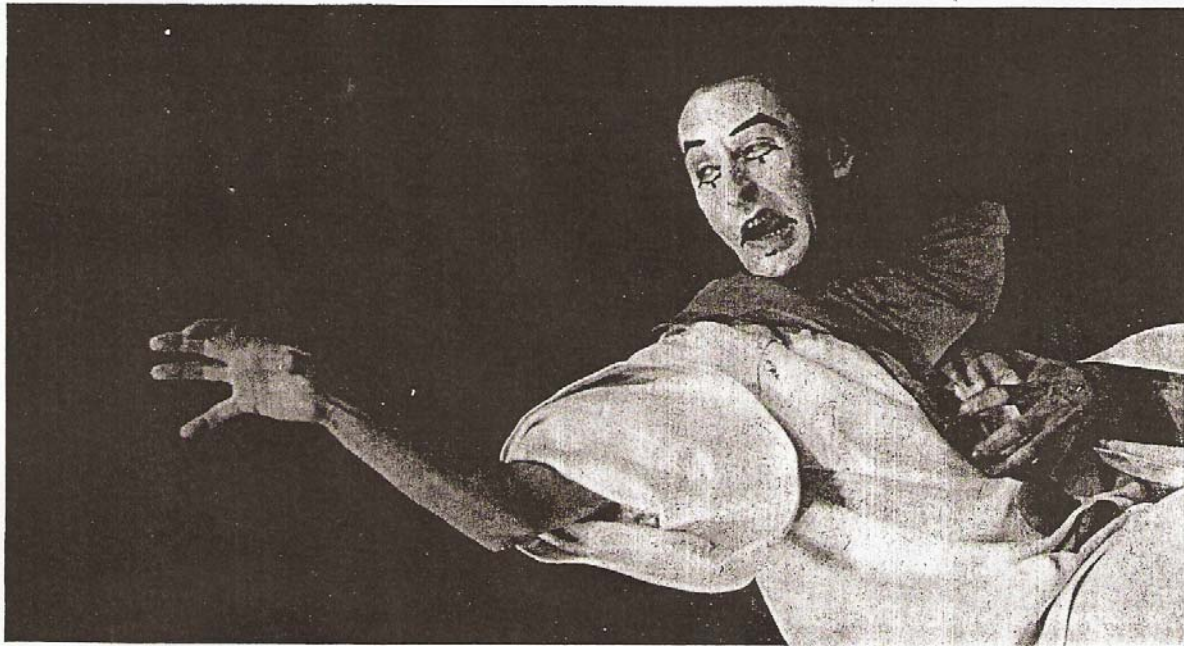


Photo : • Gamma •



Photo : • Gamma

zielonej karty. Co będzie
 Bo się czujemy po
 Jak przestępcy;
 chodzą — ze strachu;
 zięję co do p.
 tej, że jednak jej
 w końcu zostanie
 zalatwiona, czego jej
 arca.
 ol. Chyba jest jakaś
 między tymi "illegal
 tzn. bez Social
 a tymi, którzy są
 od 2-3 lat, ale nie
 greencard.
 jecie to w prasie. Bo
 którzy chcą nareszcie coś
 na ten temat, są
 i tki. Czekamy
 pliwie.

KOLEDZY z Brooklyna,
 czytelnicy "Dziennika"

A co z ustawą, jaka miała
 zwać, o której swego czasu
 prasa?
 góle, dlaczego my, Polacy,
 eż spotykamy się z
 wazaniem i ignorowaniem
 przez niektóre władze
 karskie?

Redakcji: Każdy wypadek
 indywidualny. W Pańskim
 ku należy zapewne
 o reklasyfikację wiza,
 iu o "labor clearance",
 apewne Pan ma. Sprawę
 dawałaby ustawa, jaką
 iedział prezydent Carter.
 wniósł ją do Kongresu pod
 c ubiegłego roku.
 adywaliśmy się w
 mgtonie. Znajdzie się ona
 ngresie na stole podczas
 l późną wiosną 1978.
 y ona legalne podstawy
 u wszystkim, którzy
 yli do USA do 1977.
 ililiśmy się do Białego
 i o przesłanie nam
 ktu ustawy (billu).
 amy się z Panem, że
 y imigracyjne zostały
 lbane, a Polacy są często
 wazani.

"lampa" nie tylko w wiejskich
 chałach. Również w
 zamkowych komnatach plonęły
 pochodnie nasycone smolą
 olejem lub żywicą.

stearynowe i parannowe
 wynaleziono dopiero w XIX
 stuleciu. Stopniowo udoskonalano
 również lampy olejne. Nie
 przypominały już dawnych

naszym stuleciu, pojawiły się
 lampy jarzeniowe,
 różnobarwne neony
 świetlówki. Jakże jeszcze czekają nas
 nowości — zobaczymy

WIECZÓR PANTOMIMY W FUNDACJI KOŚCIUSZKOWSKIEJ

W najbliższy piątek, 14
 kwietnia, w sali Fundacji
 Kościuszkowskiej odbędzie się
 spektakl, w którym wystąpi
 znany polski mim, od lat
 występujący w Paryżu — Janusz
 Kieszczyński.

Artysta ten dobrze jest znany
 i wysoko ceniony przez
 publiczność francuską. Jeden
 z najwybitniejszych reżyserów
 europejskich Jean-Louis
 Barraut tak pisał o sztuce
 Janusza Kieszczyńskiego:
 "Mistrzostwo jego techniki
 pantomimicznej jest
 niezrównane; jego styl jest
 prosty i elegancki, acz nie
 pozbawiony ciepła — dowód
 niezwyklej osobowości
 artystycznej. Potrafi on
 przyciągać w równy sposób
 publiczność dorosłą jak i
 dziecięcą widownię".

Krytyk teatralny Guy
 Beaujoint pisał po występach
 polskiego mima: "Należy
 przyznać, że Francuzi nie mają
 należytego przygotowania, aby
 naprawdę docenić tak
 utalentowanego i skończonego
 artystę. Łączy on w sobie talent
 akrobaty, tancerza, komika i
 humorysty." Znany aktor Jean
 Negroni nazwał sztukę
 Kieszczyńskiego tworem
 "artysty i poety". Mim,
 którego będziemy mieli rzadką
 okazję oglądać w Fundacji
 Kościuszkowskiej, ma na swym
 koncie wiele międzynarodowych nagród
 teatralnych i telewizyjnych.
 Dwa lata temu został on
 zaproszony przez Mme George



Pompidou do udziału w serii
 widowisk gwiazdkowych w
 UNESCO.
 Wieczór polskiego mima,
 zatytułowany "Refleksje"

rozpocznie się o godz. 7.30
 wieczorem. Wstęp 2.00 dolary.
 Adres Fundacji: 15 East 65
 Street, N.Y.C. Tel.: (212) RE 4-
 2130.

ze złością, ocierając pot z ciemnego, wąskiego czoła okręconego zlachmanionym turbanem ze smętnie zwisłym chwastem. — Czy nie wystarczy to raz powiedzieć?! — obruszył się i niecierpliwie zacisnął ręce na kierownicy.

jeśli nie potrafisz nie pchaj się na afisz

Nie każdy musi być od razu filozofem, potrzebni są także milicjanci, kominiarze i rybacy.

Nie każdy pisarz może być Adolfem Rudnickim, potrzebna jest także Agata Christie, a nawet Kazimiera Brandys.

Gdyby Agata Christie usiłowała szpikować swoje książki własną filozofią, nikt by tych powieści po prostu nie czytał.

Jest w Polsce zdolny pisarz, który o tych prawdach zapomniał. Myślę o Macieju Słomczyńskim. Przy odrobieniu samodoszczepinowania, przy samokontroli swoich nazbyt wygórowanych ambicji, mógłby się stać jakimś bardzo swoistym polskim Conanem Doyle, albo nowym Marcejuśskim na wiele wyższym poziomie.

Słomczyński zadebiutował po wojnie serią pornograficzno-sensacyjnych powieści. Była to bzdura podniesiona do kwadratu, obliczona na epatowanie czytelnika brudnym erotyzmem. Mimo tego książeczki te nie pozabawione były swoistych wartości. Słomczyński zaprezentował dobre wyczuwanie melodramatu, umiejętność komplikowania akcji i sporą dozę autorskiej wyobraźni. W dodatku, w przeciwieństwie do Marcejuśkiego (pisarza najbardziej doń chyba zbliżonego) wykazał niezgorszą umiejętność posługiwania się językiem polskim. Dawało to duże nadzieje na przyszłość, oczywiście w ograniczonym, wąskim kręgu literatury rozrywkowej.

Powieść sensacyjna jest z natury dość powierzchowna. Nie stać jej na jakąś bogatszą problematykę moralną, czy filozoficzną. Kiedy zdolny autor powieści sensacyjnych zaczyna bawić się w moralistę, to albo przestaje być autorem powieści sensacyjnych, albo pisze bzdury.

Właśnie to drugie zdarzyło się Słomczyńskiemu. Popelniał sztukę „Samotność” i ostatnio „Iskry” wydały tom jego „Opowiadań”, przerażających pytkością filozoficznych poglądów, których autor niestety czytelnikom nie szedł. Słomczyński z jakimś dziwnym uporem wyważa otwarte drzwi i zamyka w formie filozoficznych sentencji prawdy banalne, wytarte i tyśiątkami wypowiedziane. Miało to chyba pogłębić opowiadanie — wynik był odwrotny. Tam gdzie Słomczyński zapomniał o swoim nowym powołaniu, otrzymujemy strzępy wartościowej literatury rozrywkowej, ale autor rzadko o nim zapomina.

To co powyżej napisałem nie wyczerpuje bynajmniej rejestru grzechów. „Opowiadania”, Słomczyński, potencjalny wirtuoz niespodziewanej komplikacji i zaskakującego rozwijania dał się uwieść urokom najordynarniej pojętego schematyzmu. Włosy stają na głowie, gdy zmuszeni jesteśmy przetrząsnąć przez opowieści o „srebrnym lososiu”, „nieposusznym synu”, czy „białej brodzie”. Za obfitym pokładem kolorowego lakieru nie kryje się już absolutnie nic. Nawet akcja (dość zaskakująca w opowiadaniach otwierających tom) ogranicza się do topornej obróbki motywów, dziesiątki razy obrabianych przez mistrzów i bynajmniej nie mistrzów śp. socrealizmu.

Po pierwszych słowach opowiadania o „białej brodzie” wiemy już, że zaraz pojawi się szpieg, tak samo pewni jesteśmy, że bohater opowieści o „nieposusznym synu”, okaże się nieposuszny wobec ojcowskich wskazań i rad, a parobek (z opowiadania o srebrnym lososiu) ucieknie od księdza proboszcza.

Słomczyński nie jest grafomanem. W jego opowiadaniach pustka intelektualna i zła rzemieślnicza robota przykryta jest w dużym stopniu fasadą potocznych zdań, lekkiego przyjemnego stylu i strzępów niewątpliwego talenta. I dlatego jest tak bardzo przykre czytać tę książkę.

J. S.

czy prawą nogę należy przerzucić nad ramą z przodu czy też z tyłu. Podczas gdy się wahał, rower stracił rozped i zaczął się chwiać. Zanim jednak zatrzymał się zupełnie Nidhya wskoczył na siodełko i energicznie nacisnął uniesiony pedał.

Tej niedzieli popołudniowe słońce paliło żywym ogniem. Drogi wypełniły się pojazdami. Było mu niewygodnie. Wydawało mu się że siodełko jest dużo za wysokie: nogi z trudem dosięgały uchwyty pedałów. Czuł się okpionym i przeklinał drobnego, wyglądającego na nieponia handlarza od, którego nabył używany rower.

Nidhya nigdy nie miał zbyt dobrego wyobrażenia o swojej umiejętności jazdy i zdenerwował się jeszcze bardziej gdy kilkunastoletni podłotek przemknął przed nim jak pocisk. Zaledwie odzyskał równowagę gdy dwóch drabów zjawilo się na drodze.

— Patrzcie go co za zółtodziób! — wykrzyknął jeden z nich klepiąc się po luźnych makrochmalonych spodniach

— Wytrzeszczaj dobrze gały, oay! — zaśmiał się drugi.

Zanim przyszedł do siebie wpadł na niego jakiś rower Nidhya wyleciał z siodełka. Rozciągnął się jak długi na bruku. W głowie mu wirowało, lecz wrzawa i śmiechy wokół przywróciły go do rzeczywistości. Dźwignął się z trudem. Ciało pionoło a między nogami czuł przeszywający ból. Tarł obolałe łokcie, to chwycił się za zgięty grzbiet. Wreszcie złapał rower i wyslizgnął się z ciężby obrzucając wystraszonemu spojrzeńcem dziewczynę, która ochłonawszy z przestraszu zaczęła myślać.

— Czego rozwalasz się na tym gracie! kiedy nie umiesz jeździć. Bezwstydnik! Rozbijacz! Ha! Zniszczyłeś mi całe ubranie, żebyś zdechł!

Łobuzy szli za nim. Potklepując go wylewnie po ramieniu jeden z nich zauważył.

— Jak nie umiesz prowadzić tej kurwskiej maszyny idź obok i daj odpocząć twoim złołolam kościom nad paczką mleka w najbliższym sklepie.

Gdy znalazł się na następnej ulicy miał wrażenie jakby mu ktoś przyczepił do szyi worek z ołowiem.

Zapomniał co go tu sprowadziło. Wałęsał się bez celu więcej niż godzinę i zaczął się zastanawiać po co wogóle kupił rower. Lecz prócz tego bólu nie czuł nic.. W końcu zatrzymał się przed sklepem gdzie sprzedawano prawie wszystkie towary. Postawił rower pod ścianą i wyszedł do środka.

— Co sobie życzysz? — spytał wyglądającego chytrze chłopca, ze podbródkiem malowanym żółtym proszkiem.

— Chciałbym, chciałbym — jąkał się Nidhya próbując sobie przypomnieć. — Nie zabieraj mi czasu — powiedział z wymówką chłopiec.

Nidhya spojrział pośpiesznie na wysoko oszkloną szafkę zapchaną kosmetykami okrągłymi koszykami z przesypanych orzechami i korzeniami, salata i ryżem oraz na tłustego z wąskimi jak szczoteczki do zębów właściciela, Wydobyl zgnieciony jedno rupiowy banknot.

Z spoconej dłoni i wybelkotał — Grzebień, mała buteleczka olejku do włosów, amla paczkę herbaty i dwie spinki do włosów.

cztery rupie i cztery anna. Wiedząc musiał się pomylić. Nie należało i reszty.

Obejrzał się za siebie. Pomiedzy wami kupujących widział chwyluszczącą twarz sprzedawcy i jeżowate oczy. Czy powinien wrócić i oddać pieniądze? Odrzucił od tej myśli i pośpieszył do domu.

Głośnym chrząpliwym kaszlem mił swoje przybycie. Wpuściła go Czubek jej nosa ciągle był jeszcze walany węglem. Na progu musiał chwycić framugę. Wargi miał su podniecenie odbiło się w głosie.

— Niczego nie zapomniałeś? — tała odbierając paczkę

— Niczego! wykszusił! (Nie potrafiąc już dłużej ukrywać dości wyciągnął rękę. Uśmiechnął promiennie. — Spójrz Shello.

— Skąd to masz? — wykrzyknęła — Dziwne są drogi opatrzników — uśmiechnął się z wyzywającym samozadowoleniem.

— Co ty powiesz? — spytała po bnie.

Wtem nagle spojrzała, że przybiega na piechotę.

— Gdzie masz rower?! — fuk ostro

— Rower — zająkał się — Och Boże Bhagwani — jęknął, zostawił przed sklepem.

— Hai, lamentowała klepiąc się ołbrzymiej wypukłości brzucha. — tem zruminowana, zabiłeś mnie ty szczęśniku — syczała jak żmija.

Biegł spowrotem tak szybko jak mógł, co chwila się z kims zderza Raz przysadzista kobieta z ptasimi oczami, z obrzydzeniem gdy potrafił ją rozkał obwisłymi policzkami i piersi jak melony, prawie że odepchnęła chyanymi rękoma.

— Bhagwan! — błagał. Odech był suchy, bolesny.

— O Bhagwan przebac mi grzeskiowi.

Ciągle jeszcze zaciskając w wilgot ręce cztery rupie i cztery anna do w końcu do sklepu. Przed wejściem leżał stos rowerów. Zaczął szukać pamiętając przerzucając jeden za drugim. Wtem niewypowiedziana rad wypełniła mu serce. Znalazł swój wer. Był zbyt uradowany, żeby nat podziękować /Wszechmogącemu, który wysłuchał gorącej modlitwy.

Gdy zabierał rower przyszło mu myśl, żeby swą wdzięczność wyraził ofiarą w świątyni. Rozejrzał się wokoło i zakupił w najbliższej cukierni s dycy na nakazaną zwyczajem su pięciu Anna.

Oparł rower o ścianę świątyni i kroczył na stopnie. Rozciągnął się krzem przed obrazem Boga Kriszny i E giny Radka.

— O panie — mruczał oto składał Tobie tę skromną ofiarę. Przyjmij łaskawie jako oznakę mojej miłości otocz mnie Twoją opieką. Mnie, który jestem tylko grzesznikiem, najmarniejszym pyłkiem.

Wręczył słodcyce kapłanowi, który mamrocząc święte wersety małą czątką ofiary posmarował wargi szczerbą tego obrazu. Również Nidhya otrzymał swoją część. Serce miał lekko radosne, gdy pełen wdzięczności schodził ze schodów świątyni. Nagle zatrzymał się zmartwił. W głowie mu zakręciło a słabość ogarnęła członki

modlitwa dziękczynna

Nidhya sprowadził ze schodów swój rozklekotany, skrzypiący rower. Zastanawiał się właśnie jak długo trzeba będzie biec obok, aby, nadać mu rozpęd zanim go dosięgnie, gdy żona tęga kobieta o jastrzębim nosie pojawiła się w drzwiach.

— A więc — napominała krzykliwe przesuając złamany grzebień wzdłuż spletanym włosów — nie obijaj się cały dzień! I pamiętaj o wszystkim co ci kazałam przynieść.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział ze złością, odcierając pot z ciemnego, wąskiego czoła okręconego zlachmanionym turbanem ze smętnie zwisłym chwastem. — Czy nie wytarczy to raz powiedzieć?! — obruszył się i niecierpliwie zacisnął ręce na kierownicy.

jeśli nie potrafisz nie pchaj się na afisz

Nie każdy musi być odrazu filozofem, potrzebni są także milicjanci, kominlarze i rybacy.

Nie każdy pisarz może być Adolfem Rudnickim, potrzebna jest także Agata Christie, a nawet Kazimiera Brandys.

Gdyby Agata Christie usiłowała szpikować swoje książki własną filozofią, nikt by tych powieści po prostu nie czytał.

Jest w Polsce zdolny pisarz, który o tych prawdach zapominał. Myślę o Macieju Słomczyńskim. Przy odrobinie samodziścyplinowania, przy samokontroli swoich nazbyt wygórowanych ambicji, mógłby się stać jakimś bardzo swoistym polskim Conanem Doyle, albo nowym Marcezyńskim na wiele wyższym poziomie.

Słomczyński zadebiutował po wojnie serią pornograficzno-sensacyjną powieści. Była to bzdura podniesiona do kwadratu, obliczona na epatowanie czytelnika brudnym erotyzmem. Mimo tego książeczki te nie pozbawione były swoistych wartości. Słomczyński zaprezentował dobre wyczucie melodramatu, umiejętność komplikowania akcji i sporą dozę autorskiej wyobraźni. W dodatku, w przeciwieństwie do Marcezyńskiego (pisarza najbardziej doń chyba zbliżonego) wykazał niezgorszą umiejętność posługiwania się językiem polskim. Dawało to duże nadzieje na przyszłość, oczywiście w ograniczonym, wąskim kręgu literatury rozrywkowej.

Powieść sensacyjna jest z natury dość powierzchowna. Nie stać jej na jakąś bogatszą problematykę moralną, czy filozoficzną. Kiedy zdolny autor powieści sensacyjnych zaczyna bawić się w moralistę, to albo przestaje być autorem powieści sensacyjnych, albo pisze bzdury.

Właśnie to drugie zdarzyło się Słomczyńskiemu. Popenił sztukę „Samotność” i ostatnio „Iskry” wydały tom jego „Opowiadań”, przerażających płytkością filozoficznych uogólnień, których autor niestety czytelnikom nie szczędzi. Słomczyński z jakimś dziwnym uporem wyważa otwarte drzwi i zamyka w formie filozoficznych sentencji prawdy banalne, wytarte i tyśiąckrotnie wypowiedziane. Miało to chyba pogłębić opowiadanie — wynik był odwrotny. Tam gdzie Słomczyński zapomniał o swoim nowym powołaniu, otrzymujemy strzępy wartościowej literatury rozrywkowej, ale autor rzadko o nim zapomina.

To co powyżej napisałem nie wyczerpuje bynajmniej rejestru grzechów. „Opowia-

Wyszedł szybko przepełniony złością. Cholerna baba! Grała mu na nerwach, odbierała spokój i dawała odczuć, że jest dla niej właściwie tylko zerem.

Konieczność posiadania roweru uważała za luksus. Lecz czy tak jest naprawdę? Oczywiście, że w jego małej wiosce byłoby to głupota. W wielkim mieście z tajemniczą plataniną odległych ulic stawiało się to całkiem inną rzeczą, ale o tym on tylko wiedział.

Gdy postawił lewą stopę na pedale a drugą odbił się od ziemi nie wiedział czy prawą nogę należy przerzucić nad ramą z przodu czy też z tyłu. Podczas gdy się wahał, rower stracił rozpęd i zaczął się chwiać. Zanim jednak zatrzymał się zupełnie Nidhya wskoczył na siodełko i energicznie nacisnął uniesiony pedał.

Tej niedzieli popołudniowe słońce paliło żywym ogniem. Drogi zapętniły się pojazdami. Było mu niewygodnie. Wydawało mu się że siodełko jest dużo za wysokie: mogli z trudem dosięgały uchwytu pedałów. Czuł się okpionym i przeklinał drobnego, wyglądającego na nicponia handlarza od, którego nabył używany rower.

Nidhya nigdy nie miał zbyt dobrego wyobrażenia o swojej umiejętności jazdy i zdenerwował się jeszcze bardziej gdy kilkunastoletni podłotek przemknął przed nim jak pocisk. Za ledwie odzyskał równowagę gdy dwóch drabów zjawilo się na drodze.

— Patrzcie go co za żółtodziób! — wykrzyknął jeden z nich klepiąc się po luźnych nakrochmalonych spodniach — Wytrzeszczaj dobrze gały, oay! — zaśmiał się drugi.

Zanim przyszedł do siebie wpadł na niego jakiś rower Nidhya wyleciał z siodełka. Rozciągnął się jak długi na bruku. W głowie mu wirowało, lecz wrzawa i śmiechy wokół przywróciły go do rzeczywistości. Dźwignął się z trudem. Ciało płonęło a między nogami czuł przeszywający ból. Tarł obolałe łokcie, to chwytając się za zgęty grzbiet. Wreszcie złapał rower i wyslizgnął się z ciżby obrzucając wystraszonemu spojrzeniem dziewczynę, która ochłonawszy z przestachu zaczęła wymyślać.

— Czego rozwalasz się na tym gracie! kiedy nie umiesz jeździć. Bezwstydnik! Rozbijacz! Hai. Zniszczyłeś mi całe ubranie, żebyś zdechł!

Łobuzy szli za nim. Poklepując go wylewnie po ramieniu jeden z nich zauważył.

— Jak nie umiesz prowadzić tej kurewskiej maszyny idź obok i daj odpocząć twoim zbolalym kościom nad pao mleka w najbliższym sklepie.

Gdy znalazł się na następnej ulicy miał wrażenie jakby mu ktoś przyczepił do szyi worek z obwoim.

Zapomniał co go tu sprowadziło. Wałęsał się bez celu więcej niż godzinę i zaczął się zastanawiać po co wogóle kupił rower. Lecz przez tenże ból nie

Chłopiec z zadziwiającą zwinnością mignął rękoma na prawo i lewo i już owinął towar w gazetę. Przewiązał paczkę szpagatem i wręczył ją wraz z resztą.

Wysoki mężczyzna stojący za Nidhya potknął się i nadepnął mu na nogę. Z okrzykiem bólu i przekleństw usunął ostrożnie stopę i przepchał się do wyjścia. Kiedy znalazł się za drzwiami zatrzymał się, żeby się ogarnąć.

Otworzył zacisniętą dłoń. Były tam cztery rupie i cztery anna. Wiedział, że musiał się pomylić. Nie należało mu się reszty.

Obejrzał się za siebie. Pomiedzy głowami kupujących widział chwilami błyszczącą twarz sprzedawcy i jego zezowate oczy. Czy powinien wrócić się i oddać pieniądze? Odrzucił od siebie tę myśl i pośpieszył do domu.

Głośnym chrapliwym kaszlem oznajmił swoje przybycie. Wpuściła go żona. Czubek jej nosa ciągle był jeszcze powalany węglem. Na progu musiał się chwycić framugi. Wargi miał suche a podniecenie odbiło się w głosie.

— Niczego nie zapomniałeś? — spytała odbierając paczkę

— Niczego! wykształci!

Nie potrafiąc już dłużej ukrywać radości wyciągnął rękę. Uśmiechnął się promiennie. — Spójrz Shello.

— Skąd to masz? — wykrzyknęła

— Dziwne są drogi opatrności Boskiej — uśmiechnął się z wyzywającym samozadowoleniem.

— Co ty powiesz? — spytała pochlebnie.

Wtem nagle spojrzała, że przyszedł na piechotę.

— Gdzie masz rower?! — fuknęła ostro

— Rower — zająkał się — Och mój Boże Bhagwani — jęknął, zostawiłem go przed sklepem.

— Hai, lamentowała klepiąc się po olbrzymiej wypukłości brzucha. — Jestem zrujnowana, zabiłeś mnie ty nieszczęśliku — syczała jak żmija.

Biegł spowrotem tak szybko jak tylko mógł, co chwila się z kimś zderzając. Raz przysadziła kobieta z ptasimi oczami z obrzydzeniem gdy potrafił ją rozmakami obwisłymi policzkami i piersiami jak melony, prawie że odepchnęła go chanyimi rękoma.

— Bhagwan! — błagał. Odech jego był suchy, bolesny.

— O Bhagwan przebac mi grzesznikowi.

Ciągle jeszcze zaciskając w wilgotnej ręce cztery rupie i cztery anna dotarł w końcu do sklepu. Przed wejściem leżał stos rowerów. Zaczął szukać zapamiętałe przerzucając jeden za drugim. Wtem niewypowiedziana radość wypełniła mu serce. Znalazł swój rower. Był zbyt uradowany, żeby nawet podziękować (Wszachmogacemu, który wysłuchał gorącej modlitwy.

Gdy zabierał rower przyszło mu na



Subj: biography
Date: 7/10/2006 12:16:19 A.M. Pacific Standard Time
From: geiser@gxn.co.uk
To: Leslie3319@aol.com

Dear Leszic,

As promised, here it is:

Du Broff is ageless, so no point in discussing anything as unimportant as birth dates. I was born in Chicago, USA, of deeply anti-Soviet parents [though not anti-Trotsky] I married the right girl, Nedra, a psychologist, at the right time, and in the right place – Las Vegas, to where we eloped. We are still married. We are blessed with no children; in fact, doubly blessed – we have no television either. Many things in America did not please us, and so we decamped for Europe, where many things did not please us, but at least we could speak out without fear. We took it seriously when General Eisenhower, then the departing American president, in his Farewell to Congress, admonished the world to “Beware of the military/industrial complex that is taking over America.” Obviously nobody took much heed, and it ended with 58,000 American dead in Viet Nam, and deeply humiliated by a war America lost.

Meanwhile I was published in 23 countries, even in Albania, where Americans were refused entry by their government. We visited every other country in Europe, and I was granted the privilege of being the first (and, last) American to go game hunting in what was then East Germany (the GDR), but was later denounced for having written an article in which I accused them of being Nazis, and revealing their part in the development of weaponry presented to their Arab friends which had such a devising effect on Israel. I shot a wild boar in Russia, and one in Bulgaria. I went fishing in Poland, and caught a trout two inches long; maybe I am underestimating the size of my catch and it was really 2 ½ inches. The trip was arranged in kind appreciation of my “spying” efforts on Poland’s behalf, but it would be hard to say who was spying on whom, since they told me considerably more than I told them.

I have been hunting and or fishing in 34 countries/states/provinces. We never did return to live in the US but have spent much more than half our lives in London. England has two advantages: The National Health Service, and the trout fishing (with a fly, of course). We departed from the Left when it went fascist, though we enjoyed our time there immensely. Now we belong to (American) Republicans Abroad, and vote for George Bush with pleasure. The biggest threat comes from Left-wing Fascism, deeply anti-Semitic, deeply anti-Israel, and decidedly pro-Arab, who fill the Nazi role.



Sidney DuBroff



Sid

Nedra

Kedar

Al. Waszyngtona 142 A/3
Warszawa 44
August 11, 1962

My dear Leszek,

Many thanks for your letter of July 2, and I'm sorry for the delay in replying - I was away for six weeks to the seaside, at Ustka, and got back only a couple of days ago.

Your DRUNKEN MANIANA strikes me as an exceptionally good title. So you've produced a big thing! Congratulations! If you feel I could be of some use, I'll do all I can when you let me have the script. I'm cheered by the news of the short stories you report having finished. I've always had faith in you, and now I'm about to see the fine things I've always expected of you.

By the way, I read the typed lines you'd crossed out in your letter. May I venture a suggestion? While submitting something to an English magazine, it's better not to mention its having already been submitted and turned down elsewhere; otherwise the magazine in question may get prejudiced. Of course, when you intend a contribution for a non-English magazine, such caution isn't necessary.

If you have a short story attractive for women readers, you might try it with: The Editor, "SHE," Doorland House, 14-16 Lower Regent Street, London, S.W.1. Preferably strong action fiction, unusual settings, 4000 words, or 1000 word twist-ending stories. You'll get good payment: anything from 15 to 100 pounds.

You could also try the French weekly ELLE, which is on a par with top fashion magazines like 'Vogue' and which uses fiction - perhaps you recall my having sold a story to it. The address is: "ELLE," 100 Rue Beaumour, Paris 2e.

Quite a time has passed since we saw each other, and some changes must have taken place during this time. Have you already become Daddy, or are you planning on being one? By the way, Korczak showed me one of your letters, in which you signed yourself as Leslie Shyman. Have you, by any chance, changed your original name?

I was in London when last I saw press notices about Hastie's "Don't Send me to Omsk," but I didn't read it, thinking it to be another addition to the cold-war junk being regularly published. I'm sorry to hear the book shows you in a disagreeable light: the fellow is a bastard, considering how he exploited your invitation and hospitality. Vargis wrote to me some time ago about the next Hastie book, "The Red Barbarian." A libel suit may be all right, but it's likely to involve a lot of money, and whether the outcome will be favourable to you isn't certain, there being always many loopholes. But do let me know whatever you decide.

I've applied for the entry permit to Britain, according to the Immigration Act regulations, and hope to have things straightened out this month and to leave for London next month.

Al. Waszyngtona 142 A/3
Warszawa 44
August 11, 1962

My dear Leszek,

Many thanks for your letter of July 2, and I'm sorry for delay in replying - I was away for six weeks to the seaside, Ustka, and got back only a couple of days ago.

Your DRUNKEN MANIANA strikes me as an exceptionally good title. So you've produced a big thing! Congratulations! If you feel I could be of some use, I'll do all I can when you let me have the script. I'm cheered by the news of the short stories you report having finished. I've always had faith in you, and I'm about to see the fine things I've always expected of you.

By the way, I read the typed lines you'd crossed out in your letter. May I venture a suggestion? While submitting something to an English magazine, it's better not to mention its having been submitted and turned down elsewhere; otherwise the magazine in question may get prejudiced. Of course, when you intend a contribution for a non-English magazine, such caution isn't necessary.

If you have a short story attractive for women readers, might try it with: The Editor, "SHE," Doorland House, 14-16 Regent Street, London, S.W.1. Preferably strong action fiction: unusual settings, 4000 words, or 1000 word twist-ending story. You'll get good payment: anything from 15 to 100 pounds.

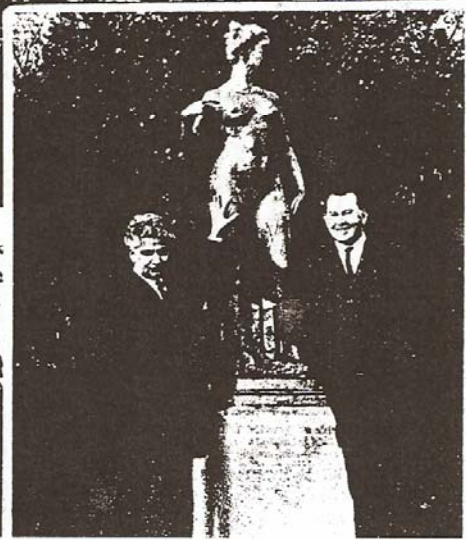
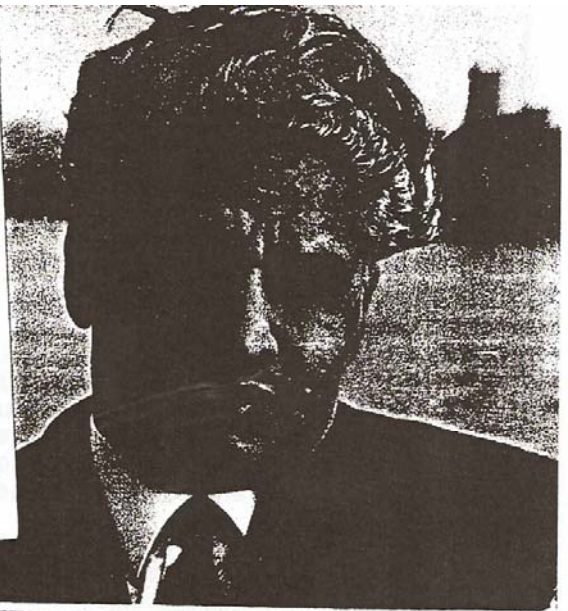
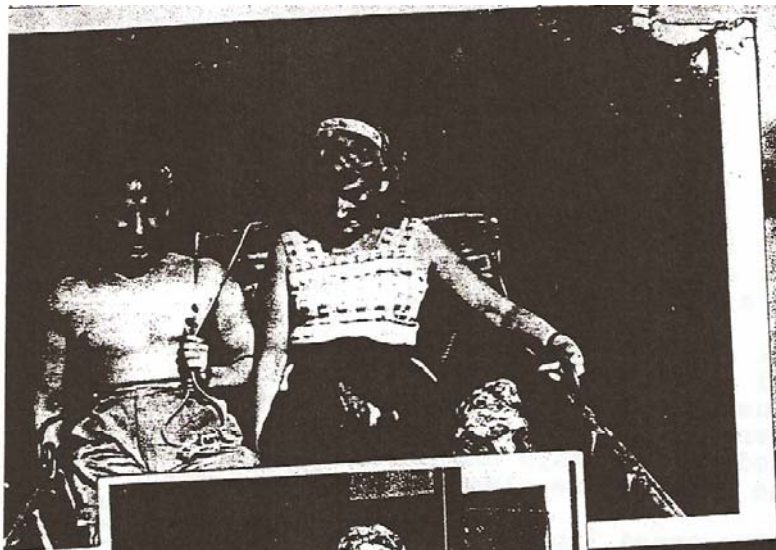
You could also try the French weekly ELLE, which is on par with top fashion magazines like 'Vogue' and which uses, perhaps you recall, my having sold a story to it. The address: "ELLE," 100 Rue Reaumur, Paris 2e.

Quite a time has passed since we saw each other, and some changes must have taken place during this time. Have you already become Daddy, or are you planning on being one? By the way, I showed me one of your letters, in which you signed yourself Leslie Shyman. Have you, by any chance, changed your origin?

I was in London when last I saw press notices about Ha "Don't Send me to Omsk," but I didn't read it, thinking it another addition to the cold-war junk being regularly published. I'm sorry to hear the book shows you in a disagreeable light; a fellow is a bastard, considering how he exploited your invitation and hospitality. Vargis wrote to me some time ago about the Hastie book, "The Red Barbarian." A libel suit may be all right but it's likely to involve a lot of money, and whether the result will be favourable to you isn't certain, there being always loopholes. But do let me know whatever you decide.

I've applied for the entry permit to Britain, according to the Immigration Act regulations, and hope to have things sorted out this month and to leave for London next month.

I have just finished a TV play "The Big Fight", and am about to begin a long story with Polish characters for a small and TV adaptation



MAREK HŁASKO KU ROMAN SŁIWONIK
- 91 -

I teraz zdumiewająca wiadomość od Leszka Szymańskiego z Floryd Leszek dowiedział się, że od wielu lat nie pije, napisał, czy czasem nie przesadzam w odwrotną stronę a dokładnie, czy nie przechylam pały w drugą stronę. Zdumiał mnie na całą długą chwilę. Skąd w Szymańskim tyle irracjonalizmu? Zabobonu wódczanego? U niego, abstynenta.

Drugi list wyjaśnił wszystko. Szymański pisze, że pije. U każdego pije oznacza zupełnie co innego i być może Leszek pije rzadko, ale skutecznie. On. Przez całe lata wyprany nawet ze smugi pomysłu o wódce teraz pije, aż spada pod stół. Jego pracowitość wyklucza picie ciągłe, tak mniemam, ale tylko pijak może się zaniepokoić faktem, że odstawienie alkoholu może czymś zagrażać.

A przecież w ostatnich latach przyjaźnił się, czy stykał się często zagranicą z Markiem Hłaską.

" Marek Hłasko często wspominał ciebie, Komedę, Himilsbacha".

" Marek opowiadał o waszych przygodach w Kazimierzu nad Wisłą".

Cytuję Szymańskiego. Musiała w duszach ludzi których lubiłem lub lubię gościć wielka ludzka posucha, jeśli epizody, których ja nie pamiętam urastały tam aż do opowieści. Chociaż?

Chociaż czasem jakiś szczegół, ułamek, okruch odkłupany od zdania jest nagle widziany w zbliżeniu, w każdym milimetrze, urasta do obrazu ważnego wypełniającego pamięć. A może jest ważny? Może fragment zapamiętany więcej mówi o nas, o kimś, o krajoobrazie, niż całe obszary wspomnieniowej monotonii.

"-Przyjadę do ciebie na wigilię" - powiedział Marek, kiedy rozstawaliśmy się po nocnej rozmowie a później prowadzonej jeszcze przez wiele godzin następnego dnia. I tych niewątpliwie jasnych rozmów nie pamiętam a pokutuje we mnie zdanie " Przyjdę na wigilię".

Czyli chodzi zapewne o czystość samego zamiaru, pomysłu, odruchu. Chciał. A wiadomo było przecież, że nie przyjdzie.

Pierwszym lokalem redakcyjnym "Współczesności" było mieszkanie Leszka Szymańskiego na ulicy Ludnej, zaludnione przez Leszka, jego żonę Jadwigę, matkę Szymańskiego i psa, którego Szymański znalazł na torach tramwajowych z obciętą nogą, pokrwawionego przyniósł do domu i wyleczył. Czy taki fakt mówi coś o człowieku?

Szymański wiedziony intuicją i odruchami serca gromadził wokół "Współczesności" ogromną rzeszę. Ludzi jakby znalezionych w wielkim mieście. Poeci, poetki, prozaicy, felietoniści nagle pojawili się, oddawali na nasze zebrania mieszkania, przybudówki, altany na działkach pracowniczych. Wszyscy chcieli pisać a może pomóc, ale byli, dyskutowali, pomagali, wspierali i nic nie napisawszy znikali na zawsze.

Kalifornii.

A teraz Leszek Szymański pisze z ~~Florydy~~, że jakiś człowiek żali się w liście do niego, że Śliwonik nie poznaje go na ulicy a on przecież był przy zakładaniu "Współczesności". Może i był, ale mógł przecież siedzieć na działce gdzieś za krzakiem porzeczek, albo w mieszkaniu za kanapą. Mógł nic nie mówić, a mógł w ogóle nie być. Szymański przyjął do redakcji do działu organizacyjnego człowieka piszącego wiersze i wkrótce z całej Polski zaczęły nadchodzić wycinki prasowe, że nasz Jerzy - oszczędzę sobie nazwiska - występuje w różnych miastach, jako redaktor naczelny pisma "Współczesność". Sympatycznego faceta ambicja pożerała żywcem, to było widoczne. I ciekawe. Mimo próśb podawał się nadal za naczelnego. Wpadł w nałóg. Z niechęcią do siebie samych musieliśmy zrezygnować z niego. Teraz udziela wywiadów i okazuje się, że prawie sam założył gazetę. Śiam. "Śiam wsiśtko źlobikęś" - jak mówi Murzyn w filmie Krzysztofa Kieślowskiego.

Ano, przewinęła się rzeczywiście przez pismo fala grafomanów. Ale, czy wszyscy zaczynający pisać nie są po trosze grafomanami? Natomiast grafomani zawodowi nie mogą być w niczym pomocni, nie

"Ludzie z" wami przystąpił mi świetny portret Jrenewszu w "Portrety z Bufetom w Elie."

Książki zginęła

IRENEUSZ IREDAŃSKI 81



Iredyński.
Podobny do siebie.

- Zamkną pana wcześniej czy później - powiedział kiedyś Jerzy Putrament.

Zaczęły się pokazowe procesy, ale to inny, wielki temat. O dewastacjach cynicznych, kiedy pozór i pretekst wystarczały za dowód. Wystarczyły wszystkim. Spótczeństwo żulo pozory i karmiło nimi sumienia. Kiedy skatowano syna znane go prezentera telewizyjnego, żeby zemścić się na ojcu, który odmówił skomentowania najazdu na Czechosłowację, a zbili go w restauracji „Ambasador”, to przezuwacze mówili: „A po cholere gnoj włóczy się po lokalach? Jakby siedział w domu, toby nie dostał”.

Czy przebyte wiezienia opóźniają nadejście nau logu czy go pogłębiają? Ten proces odbywa się w każdym inaczaj, bo Ireneusz Iredyński pisał nadal i dużo, a wódkę traktował trochę instrumentalnie. Jakby się do niej nie przynawał. Tak zachowuje się wielu pijaków.

To przecież nie ja jestem alkoholikiem, to tamten, ktoś inny. Wódka nie niszczyła talentów, niszczyła organizmy. Z wolna otwierały się groby. Każdy człowiek nosi w sobie jasność i ciemność, a pisarz powołuje siebie, żeby mroczność przetępić chociażby w szcztatkowe światło. Znośne. Zdadne do użycia. I przeczycia.

Iredyński przyjechał z Krakowa i od razu poczuł się w Warszawie dobrze. Zaprzyjaźnił się, bo jest w życiu każdego człowieka okres, w którym przyjmuje w siebie innych ludzi. Często zupełnie niepotrzebnie, ale widocznie coś, ktoś, inni, muszą wypełnić dany nam czas, pewnie piękny, ale głównie głupi.

Irek miał świetne rozoznanie w uzdolnieniach rówieśników. Może mamy je wszyscy? Prawie wszyscy. Ironizował, dowcipkował, ale nigdy nikomu wprost nie powiedział na przykład, że jest kiepskim pisarzem.

- Stahy, kuhwa, to jest święta phoza! - Nie

Ireneusz Iredyński

IREK BULWERSUJE. ZAJŚCIE W KLUBIE AKTORA.
DRAB NASŁANY NA IRKA. NOCNY WESTERN.
ATAK NAJLEPSZĄ OBRONĄ

roman śliwownik

Uwielbiał skandale. Kochał je wywoływać. Ubarwiał, jak mógł, życie pisarza w socrealizmie i w wydaniu, którego ja, również ubarwiający, jak większość nie dających się zniewolić i podporządkować – nie tolerowałem. Ale te portrety mają być pogodne.

Iredyński był inteligentny, utalentowany, dowcipny. Poeta, prozaik, dramaturg, kolejny wszechstronny pisarz tego pokolenia, może najzdolniejszy powojennej generacji.

– Panie Romanie, czy Irek jest dobrym człowiekiem? – pytał lekko rozdygotany Adam Leszczyński, lubiany przez nas, a głównie przeze mnie redaktor wydawnictwa „Iskry”.

– Dlaczego pan pyta?

– Czy Irek lubi zwierzęta? – przepytował mnie z przejęciem, z widocznym niepokojem. – Bo od panów wizyty, a minęło już sporo czasu, nasz kotek nie chce wyjść spod tapczanu, siedzi tam i miauczy. Pamięta pan, że Irek poszedł do sąsiedniego pokoju, żeby kotka pogłaskać, i rozległ się stamtąd przeraźliwy miauk. Czy Irek mógł mu coś zrobić?

Panu Adamowi chodziło raczej, żebym zaprzeczył jakos oficjalnie, że Iredyński nie jest psotnikiem-okrutnikiem.

– Zdrowiej i lepiej, ciekawiej będzie, jeśli pan sam go zapyta – powiedziałem, bo to kurtuazyjne udawanie do niczego nie prowadziło.

Jest rodzaj pisarstwa spontanicznego, konieczność zapisywania wrażeń wywołanych bodźcem myślowym, intelektualnym lub przeżyciem innym, wyłonionym z olśnień zdarzających się, oczekiwanych, i jest pisarstwo kalkulowane, konstruowane, planowane. Szkic. konstrukcja wypełnia się materia. Elina.

Irek należał do konstruujących i robił to wyśmienicie, warsztatowo precyzyjnie. Było to pisarstwo chłodne i rzadko się spotyka pisarzy, którzy zamiar powiększają i realizują czystą technika, bez domieszek – dla niektórych pisarzy niezbędnych – przeżycia, poruszenia, rozjarzenia.

Redakcje wielu tygodników, czasopism, wydawnictw mieściły się przy ulicy Wiejskiej. Naprzeciw „Czytelnika” był bar „Jontek” i redaktorzy przyjmowali interesantów i gości w tej dziwnej, trochę jakby artystycznej mordowni.

Szedłem do jakiejś redakcji i trafiłem na taką scenkę. Irek, stojąc na środku jezdni, wyciągnął z kieszeni półlitrowkę, odbił korek, przechylił głowę i butelkę, i pił gorzałkę małymi łyżkami w pełnym letnim słońcu. Przerzywał. Zerkał do góry. W oknach redakcji i wydawnictw trzepotały rączkami, główkami i ciałami rozochoczone, rozświergotane, prawie odlatujące gdzieś w południowe rozbuchanie panie redaktorki. Jedna z nich dała się już uwieść i pewnie targat nią mały żalik, że nie może tego teraz obwieścić przez okno w to gorące południe. Tylko jej nadmierne wychylenie z okna i szybki migot dłoni mogły wskazywać na zaangażowanie większe i upoważnione. Wzajemniczeni mogli to odczytać.

– Napijesz się? – Irek podał mi butelkę.

– Po co to robisz? – spytałem.

– Reklama jest dźwignią handlu, niech mówią źle, ważne, żeby w ogóle mówili – powiedział z trzeźwym i mocnym przekonaniem.

W pewnym momencie życiowym tej reklamy zrobiło się wołkół niego aż za wiele. Taki sposób bycia, życia nie mogły być przez system tolerowane, one mu wręcz urągały. Wszyscy, prawie wszyscy w redakcjach, w wydawnictwach, w gabinetach partyjniaków popijali po cichu, do lustra, ale nie mogli tolerować grupy młodych ludzi, którzy innością demonstrowali niezależność.

Wiem, że to może wydać się dziwne, naciągane, ale tak było. I nie usprawiedliwiam pijanstwa pisarzy, które niczym się nie różni od pijanstwa szewców, krawców, inżynierów, lekarzy, dekarzy, chłopów i robotników. Piła cała Polska. I nie nadal.

Stoisko uliczne „Współczesności”
 Na pierwszym planie: Barbara Zbrożyna.
 W głębi: E. Bryll, J. Falkowski, I. Iredyński



le pisma znacznie później, dopiero od połowy 1958, od chwili gdy „Współczesność” przestała być miesięcznikiem wydawanym przez grupę literacką, a stała się dwutygodnikiem PPKPiK „Ruch”.

Jerzy
 Harasymowicz



↑ IRENEVSZ
 IREDYŃSK



Józef Lenart



Ernest Bryll



Aleksander J. Wiczorkowski



Sławomir Kryśka



Od lewej:
 Włodzisław Janicki,
 Jerzy Czajkowski,
 Mirosław Małczarek

Od połowy lat sześćdziesiątych ważymy we „Współczesności” zmianę w proporcji — literatura będzie w dwutygodniku mowała coraz mniej miejsca, to ona stanie się marginesem zainteresowań redakcyjnych, eksponowanej pozycji nie zajmą nigdy aktualna publicystyka i reportaże —

całej pełni. Przygoda
historią, jest lagod-
w trawę, w las — jak
Miłość zanama w do-
tarzalna. I wreszcie
którą ma się w
stopą, całonie noz-

sprawiedliwość. To
czytelnika, to od-
ta do przeżyć natu-
ch, a pięknych.

filozofem. Trudno
pretensje, ale brak
myślenia cechującego
nowi granicę, której
bell tolls“ nie prze-

zaju przyjętej styl-
posobu i powołania
dy z wielką współ-
wielkich na miarę
Manna usiłuje przed-
własną koncepcję
ycznej ocenie zastana
to wszechstronnie,
tkanki psychicznych
społecznych ukła-
unikując psychoana-
znawczej i odkryw-
ologicznymi metoda-
społecznych — wy-
ńczoną wizję czło-
kolepują do podziemi
najbardziej material-
wości“ jak powiada
po to, by wydzwi-
ciemnością na świa-
le w pierwszym rzę-
y ich pomocy cały
nizm funkcjonowa-
nizmu, który zwie
nsekwentni jak my-
ni. Ale od ostatnich
wrażliwość i uczu-
lekt, w to cudowne
człowieku, umożli-
cia w reżymie ma-
jecha zasadnicza na-
nich humanistów.

ta prezentuje nam
mandżaro“. Czy w
kolwiek?

tylko na pytanie
usi być negatywna.
ędąc świetnym ob-
ąc wiele istotnych
człowieka — nie
eń. Bardziej opisu-
w najlepszej swo-
przeżycia w Hisz-
dzwon“ (For whom
autor wstępu do
Bronisław Zie-
„arcydziela“, na-
najlepszym swoim
emingway zrelacjo-
berta i Marii prze-

iraneusz iradyński

gdzie

Mam za sobą lata wojny gdzie
rozbito tysiące choinkowych baniek
wskazującymi palcami armat
wielu ludzi zmieniono ra bardzo
[zimne ognie

Chciałbym być przy mnie teraz
[była Maszo
oglądała odchodzenie wieczorów
Wieczorów miasta gdzie oczy

[przechodzących ludzi
są witrynami
na których nie ma pomarańcz
[czy innych słońc

Oczy ludzi w wytartych płaszczach
Pokazałbym ci panoramę ulicy
zwaliste mury jak ciężka dłoń
na której mieszkam

Uginające się barki kobiet
bo w dłoni są kłopoty

Słuchalibyśmy muzyki
[z niedalekiego lokalu
gdzie tańczą cify w wąskich

[spodniach
Dzisiaj śmierć nie jest wojenna
Dzisiaj śmierć jest zwyczajna

jak wieczory
mówiłby przejeżdżający wózkiem
[inwalida

My Maszo pokolenie dla których
[wojna
kojarzy się z drewnianą hulajnogą
impotencji dramatyizmu
w odchodzące wieczory nie wiemy
gdzie siebie ustawić
wobec przyszłych wieczorów



You say you're writing considerably in Polish: a novel and some stories are ready. Why not translate them into English. I know of a very reputed London publisher publishing good literature, especially by new writers. The firm yearly issues two booksize anthologies featuring new and promising writers; it takes up a writer and builds him up. You may write to Mrs Ethel de Keyser at John Calder (Publishers) Ltd., 17 Sackville Street, Piccadilly, London, W.1. You may, if you prefer, mention that I suggested your writing to her. She is one of the chief literary advisers to the publishing house. Enclose "Escape" (revised version) or any other story or stories that you consider worth submitting, and mark it/them for "New Writers Anthology." Also propose your novel. I do hope you'll get an encouraging response. (It doesn't matter whether your candidate for the Anthology has already been published in a magazine.)

I am all for the stand you took with the local journalist; and I know that one has to pay the price for one's ideas, especially when they don't conform with the ideas cherished by the herd mentality.

With love to you and Jadzia, and once again with many apologies for the delay,

Yours,

Kedar

kedar

Al. Waszyngtona 142 A/3
Warszawa 44

February 23, 1962

My dear Leszek,

Thank you very much for your letter of 22nd January, and sorry for this belated reply. I left London later than intended, and, after stopover in Paris and Berlin, got here only a couple of days ago. From now on I'll be regular in correspondence. I hope you'll forgive the lapse.

You sound a bit angry at what I mentioned in the last letter from London. I didn't want to discourage you, but to acquaint you in a cold language with the situation as then seemed to prevail in Britain generally. It's better to know the circumstances without the halo of romance around them; then, since one doesn't overexpect, one is not disappointed - and that enables one to face the problems squarely. Of course I didn't know about the five-year period required to attain Australian citizenship. As you say, the outlook is not bright but, like everything else one wants to do, not impossible. At this distance from London, I wonder whether I could offer a helpful way out. I know not too many people there, and they're poor buggers, artists or writers who are somehow wangling ~~and~~ a bare living. Perhaps, when I return to London after having completed the stage-play, I'd be able to see what I could do about having you invited. Have you written to Mrs Sack, by the way? Before I left I gave her your address that she'd misplaced. Maybe you've already heard from her.

I am glad you're going ahead with creative work. You mention the London Argosy comments on your "Escape to the Tropics." I don't care very much for this publication; the stories published in it are rather escapist, though once in a while a good story finds its way into it. I should suggest that you brush up "Escape" again: the translation we'd done in Warsaw couldn't have been quite what it should be. Tighten up the narrative wherever possible, and present yourself as one writing in English. A good idea would be to try it with the U.S. papers - good money, if you sell, anything from 400 to 1000 dollars. Try "ESQUIRE," 488 Madison Avenue, New York City, N.Y. Another opening could be: "ARGOSY (Popular)", 205 East 42nd Street, New York 17.

Do send over any stories you wish me to see. I'll let you have them back at the earliest. It would be good to submit them from Australia rather than from here, don't you agree? Should you want anything from London, you could write to Vargis (P.N.Varughese) at 8 Malden Crescent, London, N.W.1.

...

Al. Waszyngtona 142 A/3
Warszawa 44

February 23, 1962

My dear Leszek,

Thank you very much for your letter of 22nd January, and sorry for this belated reply. I left London later than intended, and after stopover in Paris and Berlin, got here only a couple of days ago. From now on I'll be regular in correspondence. I hope you'll forgive the lapse.

You sound a bit angry at what I mentioned in the last letter from London. I didn't want to discourage you, but to acquaint you in a cold language with the situation as then seemed to prevail in Britain generally. It's better to know the circumstances without the halo of romance around them; then, since one doesn't overexpect, one is not disappointed - and that enables one to face the problems squarely. Of course I didn't know about the five-year period required to attain Australian citizenship. As you say, the outlook is not bright but, like everything else one wants to do, not impossible. At this distance from London, I wonder whether I could offer a helpful way out. I know not too many people there, and they're poor buggers, artists or writers who are somehow wangling ~~it~~ a bare living. Perhaps, when I return to London after having completed the stage-play, I'd be able to see what I could do about having you invited. Have you written to Mrs Sack, by the way? Before I left I gave her your address that she'd misplaced. Maybe you've already heard from her.

I am glad you're going ahead with creative work. You mention the London Argosy comments on your "Escape to the Tropics." I don't care very much for this publication; the stories published in it are rather escapist, though once in a while a good story finds its way into it. I should suggest that you brush up "Escape" again: the translation we'd done in Warsaw couldn't have been quite what it should be. Tighten up the narrative wherever possible, and present yourself as one writing in English. A good idea would be to try it with the U.S. papers - good money, if you sell, anything from 400 to 1000 dollars. Try "ESQUIRE," 488 Madison Avenue, New York City, N.Y. Another opening could be: "ARGOSY (Popular)", 205 East 42nd Street, New York 17.

Do send over any stories you wish me to see. I'll let you have them back at the earliest. It would be good to submit them from Australia rather than from here, don't you agree? Should you want anything from London, you could write to Vargis (P.N.Varughese) at 8 Malden Crescent, London, N.W.1.

...

- 8 -68 Wemyss Str.,
Marrickville, Sydney,
N.S.W. Australia

My dear Cobber,
29th, October, 1962

I hope this time you won't get cranky with me as I'm replying you at once. Yah, I got both of your letters and I figured you were poking borak on me, poor bloke. At first I was mad as a cut snake for things went crook and were muck-up and ready for the old man rough up and nothing to make fun of. For all that time I kept on listening to a whitefella devil and was on wack-up.

Lucky it's not too bad for time being, but I was really crook, I have no skerrick of confidence in some big blokes. But you in the pommy land were in no better position than we Sydneysiders. Fair dinkum, I say to you, only jackeroos and Blackfellows were safe in their bl... outback, nobody else. Righto, my dear Cobbo I'm about to finish this yabber as I'm afraid you would get pain in your Ned Kelly (the belly) and I suppose EM I MEKIM HAT BEL BELONG YOU (You would get angry) so just quietly and So Long, see you later.

All the above passage is in response to your remark that after all, you'll be writing about your Polish background. Dear fellow, I take a great deal of pride in my mastery of Australian Idiom, expressions and slang. Most of my short stories in English had got decidedly Australian background, and I hope I'm able to represent Australia in my short stories much better than some Australia born writers. Not only Australian life in cities but Australian exotic is enticing me. I think I know well Pidgin English and I plan to spend some time in the real outback of Queensland and Western Australia, if nothing unexpected happen, of course. In my collection of short stories which is almost ready I don't intend to put more than 20% of the stories with Polish background.

Now my name. Gosh, I got heartily sick of wrong pronunciation of it. It usually looked like this:
S...z...iff...man...sk...ee...L...ee...s...z...ee...K...
with just about this amount of stammering.
I don't care if I'm now Shy...man...sky...it's swell name, look the sky of shy man. That's that.
I was so many times called an arrogant man that just for a change it suits me.
The same about my nom de plume (you see I'm not decent enough to abstain from showing off my French) and Les is just great.
And if Shyman got a Jewish sound I don't care either

To Yedav
From
L. Szymanski

- 8 - 68 Wemyss Str.,
Marrickville, Sydney,
N.S.W. Australia

29th, October, 1962
My dear Cobber,

I hope this time you won't get cranky with me as I'm replying you at once. Yah, I got both of your letters and I figured you were poking borak on me, poor bloke. At first I was madass a cut snake for things went croak and were muck-up and ready for the old man rough up and nothing to make fun of. For all that time I kept on listening to a whitefella devil and was on waks-up.

Lucky it's not too bad for tim being, but I was reall crook, I have no skerrick of confidence in some big blokes. But you in the pommy land were in no better position than we Sydneysiders. Fair dinkum, I say to you, only jackeroos and Blackfellows were safe in their bl... outback. nobody else.

Righto, my dear Cobbo I'm about to finish this yabber as I'm afraid you would get pain in your Ned Kelly (the belly) and I suppose EM I MEKIM HAT BEL BELONG YOU (You would get angry) so just quietly and So Long, see you later.

All the above passage is in response to your remark that after all, you'll be writing about your Polish background. Dear fellow, I take a great deal of pride in my mastery of Australian Idiom, expressions and slang. Most of my short stories in English had got decidedly Australian background, and I hope I'm able to represent Australia in my short stories much better than some Australia born writers. Not only Australian life in cities but Australian exotic is enticing me. I think I know well Pligin English and I plan to spend some time in the real outback of Quinsland and Western Australia, if nothing unexpected happens, of course. In my collection of short stories which is almost ready I don't intend to put more than 20% of the stories with Polish background.

Now my name. Gosh, I got heartily sick of wrong pronunciation of it. It usually looked like this: S...z...iff...man...sk...ee...L...ee...s...z...ee...K... with just about this amount of stammering. I don't care if I'm now Shy...man...sky...it's a swell name, look the sky of shyman. That's that. I was so many times called an arrogant man that just for a change it suits me. The same about my nom de plume (you see I'm not decent enough to abstain from showing off my French) and Les is just great. And if Shyman got a Jewish sound I don't care either

8 Malden Crescent
London, N.W.1

December 30, 1961

My dear Leszek,

Thank you very much for your welcome letter of the 18th, owing to Christmas-rush, it took quite a time reaching me, redrafted from my earlier address. I am glad to hear that you feel fit and strong, despite the rather gloomy situation around you. I should like to take up the points raised in your letter:-

(1) Visa: Your letter has given no indication of your citizenship status, which hampered me from advising you on the course you propose to undertake. However, I may as well risk some remarks. If you already have Australian citizenship, then you (technically being the citizen of a Commonwealth country) should require no visa in order to enter Britain; you could come straight away. If, on the other hand, your citizenship is undetermined, it would be hard to enter Britain, even though your maintenance should be sponsored by a rate-payer (that is, one who owns property in the U.K. and pays the property tax and is on the electoral rolls) in this country.

~~to take up employment in Britain.~~ I am afraid, he permitted

(2) In case you already possess Australian citizenship, there are possibilities of employment here. There are good openings for teaching jobs, but to qualify for them the candidate should have a University degree to be approved by the Ministry of Education here. Office and secretarial jobs (and promotion in shorthand and typewriting. The post office and British Transport have at the moment plenty of vacancies, and there should be no difficulty in obtaining one of them. In addition, there is a fairly well-knit Polish community here, they run a daily paper and a weekly one and also a small-scale publishing house. Also, if Jadzia has specialized in one of the trades, for example, sewing, she could easily get a well-paid job.

(3) Should you let me know what type of material (articles, stories, plays for radio or TV, including their duration), I shall be most happy to send you the addresses where you might try them. In case you like me to see some of your work, I shall be glad to do all I can to brush them up, though your sending and my looking through and returning the manuscripts would mean a loss of time, which could perhaps be avoided if you had someone close by who could just scrutinize the language and style from a professional point of view.

You are right when you say that there are things in this

Al. Waszyngtona 142 A/3
Warszawa 44

February 23, 1962

My dear Leszek,

Thank you very much for your letter of 22nd January, and sorry for this belated reply. I left London later than intended, and after stopovers in Paris and Berlin, got here only a couple of days ago. From now on I'll be regular in correspondence. I hope you'll forgive the lapse.

You sound a bit angry at what I mentioned in the last letter from London. I didn't want to discourage you, but to acquaint you in a cold language with the situation as then seemed to prevail in Britain generally. It's better to know the circumstances without the halo of romance around them; then, since one doesn't overexpect, one is not disappointed - and that enables one to face the problems squarely. Of course I didn't know about the five-year period required to attain Australian citizenship. As you say, the outlook is not bright but, like everything else one wants to do, not impossible. At this distance from London, I wonder whether I could offer a helpful way out. I know not too many people there, and they're poor buggers, artists or writers who are somehow wangling ~~out~~ a bare living. Perhaps, when I return to London after having completed the stage-play, I'd be able to see what I could do about having you invited. Have you written to Mrs Sack, by the way? Before I left I gave her your address that she'd misplaced. Maybe you've already heard from her.

I am glad you're going ahead with creative work. You mention the London Argosy comments on your "Escape to the Tropics." I don't care very much for this publication; the stories published in it are rather escapist, though once in a while a good story finds its way into it. I should suggest that you brush up "Escape" again: the translation we'd done in Warsaw couldn't have been quite what it should be. Tighten up the narrative wherever possible, and present yourself as one writing in English. A good idea would be to try it with the U.S. papers - good money, if you sell, anything from 400 to 1000 dollars. Try "ESQUIRE," 488 Madison Avenue, New York City, N.Y. Another opening could be: "ARGOSY (Popular)", 205 East 42nd Street, New York 17.

Do send over any stories you wish me to see. I'll let you have them back at the earliest. It would be good to submit them from Australia rather than from here, don't you agree? Should you want anything from London, you could write to Vargis (P.N. Varughese) at 8 Malden Crescent, London, N.W.1.

...

Ein leerer Teller und "Der Rupienbaum". (Bayern 2 Radio) Zwei Erzählungen aus Indien von Kedar Nath. Ab 7 Jahre.

*

Tu wieszcie mamy jego biogram:

Kedar Nath wurde am 13.9.1927 in Rawalpindi als Sohn eines Arztes in einer Brahmanenfamilie geboren. Er studierte an der Universität seiner Vaterstadt und erwarb einen Honours-Grad Bachelor of Arts. In dieser Zeit legte er den Zunamen ab, der ihn als der höchsten Kaste zugehörig kennzeichnete. Nach der Teilung Indiens beendete er sein Studium in Delhi mit dem Grad Master of Arts. Einige Jahre arbeitete er als Dozent an verschiedenen Hochschulen Nord-Indiens. Noch während des Studiums begann er zu schreiben; später war er Mitarbeiter einer satirischen Wochenzeitung, schrieb Hörspiele, Kurzprosa, veröffentlichte Essays und Kritiken in Zeitungen und Zeitschriften seiner Heimat und im Ausland. Ausgedehnte Reisen führten ihn durch Europa; einige Zeit lehrte er in London. Um sich vom eingegengten akademischen Leben zu lösen, arbeitete er zeitweilig in anderen Berufen und wurde dann freischaffend. Er hat zahlreiche Reiseberichte über verschiedene Länder publiziert, auch einen Band »Polnische Märchen und Legenden«, Erzählungen und Short Stories (dafür erhielt er mehrmals internationale Preise). Neben Hör- und Fernsehspielen entstanden die Kriminalromane »Das dritte Auge Shiwas« und »Ein Gürtel für Lakschmi« (RZ 313). Dem »Band der Ehe« wird ein weiterer Roman folgen mit dem Titel »Die Vergangenheit der Zukunft«, in dem der Held nach überwundenen Konflikten seine Ideale verliert und Opfer eines Kompromisses wird, gegen den er sich immer wehrte. Kedar Nath's Arbeiten sind nicht nur in seiner Heimat und den englischsprachigen Ländern erschienen, sondern auch in die meisten europäischen Sprachen übersetzt. Er schreibt in Englisch.

O smierci nic nie pisał. W skrócie: syn braminy, odrzucił rodowy przydomek, studiował w Delhi, potem wiele podróżował i o tych podróżach pisał (m. in. tom polskich bajek i legend, jest też autorem słuchowisk radiowych i esejów, dalej wymieniają te dwa kryminały, które wyszły też po polsku.



Kedar Nath

to write a book about it: RETURN TO INDIA. Published in a number of countries, Kedar won the Italian equivalent of the Pulitzer Prize for his efforts.

On assignment in Germany, my wife Nedra and I were able to spend a few days with Kedar, just outside of (what used to be) East Berlin. Kedar had had a stroke. Walking in the countryside with him, he couldn't make it up a small hill, and required my help, which he accepted without comment, since mentioning it might require probing a topic he obviously preferred remain unspoken.

Then he died. We felt deepest loss. Kedar had always been there. He had been enormously helpful to me. Now he was gone. We would always remember, remember how he couldn't remain seated for more than ten minutes before he called for a dictionary, to probe the meaning of a word. The world is poorer without Kedar. He had made an enormous contribution.

Sidney Du Broff

Kedar's father was a doctor, that is of Indian medicine. Before the Partition they did very well. During the partition they lost everything. Kedar told me and wrote about the horrors of Partition.

He was teaching at one of the Indian universities, the French Literature. He was accepted as a lecture in spite of having only M.A. on the strength of his short stories in English.

Kedar was not interested in the academic career in spite that he could easily get his doctorate in the English or Polish Literature.

He was a born writer. He spent hours looking for a proper word in a dictionary. He had a number of reference books on the English language. He enjoyed that tongue. He also taught me to use it and appreciate it.

He was careful and a patient in sending his short stories the entire world around, and he was successful. He had from that a small but steady income.

We wrote together a crime novel. Its hero was our common friend Jagir Singh. The book entitled in English the "Third Eye of God Shiva". We had great hopes. After its success Cedar will write his Great Indian Novel, and I would mine, though I did not know on what subject.

I was happy to learn though only now that his book even if not the Great Indian Novel was successful. I do not know whether he wrote the Novel. If he did, I am certain it shall be a success.

leszek szymanski



KEDAR NATH

When Leszek asked me to write about Kedar, I realised I didn't know anything about him, despite a friendship that spanned almost thirty years. He rarely talked about himself, at least nothing personal. If you asked, he would, most skilfully, turn it back on you, and you would find yourself telling him about you.

His life seemed to have started in Poland. What happened before that shall always remain a mystery. His brother (Badri Nath) no doubt knows; his brother's existence was only laterally revealed, when he, with his wife, suddenly materialised in London, at the same time Kedar did. As far as India is concerned, all I know is that during the painful process of Partition and relocation, Kedar's mother consigned the family's possessions, including her jewellery, to a porter, who disappeared forever, and was never seen again, at least nor by Kedar's mother.

In Warsaw Kedar was warmly hosted by Leszek. Kedar related an incident in which, at a night club, he was accosted by two young Poles, who started a fight with him, which surprised me, considering the cordiality with which most Poles encounter visitors. But Leszek tells it a bit differently: According to him, Kedar, apparently under the influence of Polish fire-water, picked a fight with these two young Poles. The ensuing violence resulted in a sudden appearance by the police, who took Kedar off to the station. From there Leszek was contacted, by then the middle of the night, and loaned his good offices to rescuing Kedar from the arms of the justice system.

We met Kedar in London, at an event at the Polish Embassy. That is when our friendship began. Kedar thought that there would be more scope for his writing here, in what he saw as something of a literary climate. There may have been too, if he had been prepared to tell us more about his Indian self and India generally. Interestingly enough, when at last he did, he was rewarded with great success.

In London he worked as a supply teacher, which he didn't particularly like. He also revealed that he wanted to reconcile with his wife, still in Poland, whom he had acquired there, and about whose existence we had known nothing. In an effort to get her a visa to come to England, one of the secret services intervened, offered their help if he was prepared to help them. Enlisting his MP solved the problem, though the reconciliation was never affected.

Kedar was a Brahman, as high as you can go on the Indian social ladder. Kedar never told us this; it was Jagir Singh, who lived in the same bed-sitter house as Kedar, who revealed it with deepest pleasure, and who was a great admirer of Kedar and his literary prowess.

Kedar returned to the east - the eastern part of Europe that is - East Germany, to be precise, where his literary output was very well received. Here he lived for the next twenty five years of his life, with a lovely lady who was completely devoted to him.

It was Jagir who sent Kedar off to India, a very reluctant Kedar who had left India twenty five years before, and had no real interest in making an early return. Jagir made it clear that were Kedar's mother to die, without him having seen her, he would feel guilty for the rest of his life. Accepting the logic of this, Kedar went off to India, saw his mother, a few other people, wandered around for a while and returned home

RE: ARTYKUL DERREGO

Page 1 of 4

CZAPKOWSKI EG. i Moja Przygoda Literacka v Brak podpisu.
str. 2 jest ostatnia

Subj: Re: Kedar Nath
Date: 5/19/2006 3:37:24 P.M. Pacific Standard Time
From: _____
To: Leslie3319@aol.com

"Powrot do Indii" maja w British Library:

Author - personal • **Nath, Kedar.**
Title • **Return to India / Kedar Nath.**
Publisher/year • **London : Cassell, 1988.**
Physical descr. 124p. : ill. ; 23cm.
General note Includes index.
Subject • **India -- Description and travel.**
Subject • **India (Republic) Description & travel**

*

Jeden "kryminal" autora o tym imieniu i nazwisku jest w katalogu warszawskiej Biblioteki Narodowej:

Autor Nath, Kedar
Tytuł **Gorset dla Lakszmi / Kedar Nath ; tl. [z ang.] Anna Mysłowska.**
Adres wyd Warszawa : "Czytelnik", 1983
Opis fiz 238, [2] s. ; 16 cm.

Inna znalazłem w serwerze BiblioNETka:

Trzecie oko boga Siwy

Autor: Nath Kedar
Tytuł oryginalny: **Third eye of Shiva**
Gatunek: **thriller/sensacja/kryminal**
Forma: **powieść**
Seria wydawnicza: **Seria z Jamnikiem**
Średnia ocena książki: **4.00**, książkę oceniło 1 użytkowników

Ta pierwsza też tam jest:

Gorset dla Lakszmi

Autor: Nath Kedar
Tytuł oryginalny: **Corset for Lakshmi**
Język oryginału: **angielski**
Gatunek: **literatura współczesna zagraniczna**
Forma: **powieść**



Kedar i L. Sz.
Londyn



Wracaliśmy z „Bristolu” taksówką, ale po pewnym czasie zdumiony, spostrzegłem, że za autem galopuje koń, ciągnący rozhybotaną dorożkę ze stojącym na koźle opętanym, wymachiującym batem woźnicą.

— To pan Roman — objaśnił Marek. — Panie kierowco, niech pan jedzie powoli.

I tak jechaliśmy Nowym Światem. My w taksówce, za nami pan Roman we własnej dorożce, a przy Foksal nie wiadomo dla czego dołączył do nas radiowóz. Za chwilę poznałem przyczynę. Marek wysiadł z taksówki, podszedł do radiowozu i obdarował milicjantów paczkami amerykańskich papierosów.

I wcale nie było mi smutno — może tylko w tej chwili — kiedy stwierdziłem, że za pieniądze wszystko można kupić. Tylko talentu kupić nigdzie nie można, ten Markowi został dany razem z wdziękiem. Jechaliśmy Nowym Światem przez plac Trzech Krzyży do Wiejskiej nadal w tej samej kolejności — my, dorożka i radiowóz. Milicja z wdzięczności za papierosy, a my, że po prostu za odruch i pamięć Marka o nich, zapewniła nam ochronę. Jechaliśmy w korwoju.

Na Wiejskiej Hłasko zapłacił wszystkim.

Najbardziej jednak podobało mi się oplacenie dorożkarza, który przejechał pół miasta na własne życzenie. Fanaberie rozburmanionego woźnicy.

Nazajutrz około południa zobaczyłem stojącą przed Związkiem Literatów Polskich dorożkę pana Romana. Jak on wywahał, że byliśmy tam z Matkiem umówieni?

Podobała mi się opowieść mojej bratowej Izy o Hłascie, podobała mi się, bo jest wyobraźna, ładna i świadcząca, że Hłasko był niewątpliwie gwiazdą tamtych lat. Musiała to być gwiazda niebrzydka, świadczy o tym wspomnienie bratowej, w którym jeszcze ciągle łśni zachwyty. Jest w życiu taki czas, że wszystko nas ośniewa i nie szkodzi, że jest w tym dużo zachwyty również dla nas samych.

Opowieść jest o tym, jak Iza, będąc jeszcze uczennicą, czyhała z koleżankami na Hłaskę i kiedy go już wypatrzyły, szły za nim całą gromadą, jak przystało na adoratorki. Szły za nim, kiedy spacerował po Nowym Świecie przystawiały kiedy za-

Od prawej: Marek Hłasko, Stefania Grodzieńska i Andrzej Szczepkowski. Tak wyglądało pierwsze studio telewizyjne w Pałacu Kultury i Nauki. Niewątpliwie Marek był gwiazdorem. I tutaj nie dał się zaszkodzić fotografującemu, panu Lucjanowi Foglowi. Widać ten błysk i intelektualną czujność.

Przez Warszawę, w której młodość szukała swoich radości i przeżyć. I znajdowała je. Żyła, uczyła się, kochała. I jest to prawda, mimo że rozpaczliwa, ale przecież tak było. Może dlatego, że człowiek dostrzega błękit wszędzie, gdzie widać go chociaż odrobinię.

I jeszcze jedno przypomnienie. O absolutnej, wypełniającej po resztki czupryny miłości, jaką Jan Himilbach żywił dla Marka. Później Janek przyniósł to uczucie na jego Matkę. Co roku po mszy za duszę Marka w kościele Świętego Krzyża snuty.

kaliśmy się we czwórce: Matka Marka – pani Maria, Barbara Himilsbach, Jan Himilsbach i ja. Mówiliśmy o Nim, czyli o jego pisarstwie, bo tym teraz głównie Matka Marka żyła. Pisarstwem, literaturą. Zarażliwa, straszna, a może przepastna dziedzina. Życia. Zawsze czyjeś życia.

Literatura stała się dla Matki Marka czymś wypełniającym. A dla Marka Hłaski była niegdyś – tak jak dla większości pokolenia – jedyną szansą. Zaspokajającą ambicję. Sposobem nie tylko bycia, ale i życia. Nawet jeśli to była literatura okiełznana, to bunt zawsze był i jest nieodłącznym warunkiem pisarstwa. Inspirującym, a dla niektórych – co czas nieubлагanie ukazuje – bodźcem jedynym.

Marek Hłasko swoją szansę, jaką mu dawały talent i inteligencja, wykorzystał.

I nie ma co lamentować, szukać winnych poza nami, jeśli coś się nam nie udało. W każdym zawodzie zdarzają się porażki, klęski i sukcesy. To są koszty własne. I wszyscy o tym wiedzą, tylko część komediantów czyni rwetes. Małe spektakle – trwające u nas latami – usprawiedliwić, dąsów, zlorzczeń.

Ta smuga niemożności indywidualnej ciąży na całej literaturze, a raczej na środowisku pisarskim. I nawet to określenie jest trochę rozgrzeszające i za grzeczne, bo w końcu, ilu naprawdę jest pisarzy wśród piszących? Odpowiadają na to czytelnicy nie czytający pisania współczesnego.

Na spektakle lamentujących i rozgrzeszających siebie naród w ogóle przestał chodzić.

Marka Hłaskę ludzie chcą czytać, chcą o nim wiedzieć. Ktoś nas do różnych posłań wybiera. A innych nie.

NASZE SALONY

O barmanach i „Kameralnej dla Ubogich”

Na początek o barmanach, a jeśli o barmanach, to o wzorcach, czyli przede wszystkim o panach Edwardzie i Józefie z nocnej „Kameralnej”.

Wszyscy, którzy ich wspominają – pisarze, aktorzy, malarze, dziennikarze, ludzie z STS-u, „Stodoły”, ależ to było uzdolnione pokolenie – mówią o tych dwóch panach z niebywałą serdecznością, ciepłem i szacunkiem. Z podziwem i adoracją niezwykłą.

Skąd bierze się ta sympatia i uznanie dla barmanów? Przede wszystkim nie dla wszystkich barmanów, tylko wyjątkowych, a wśród nich panów Edwarda i Józefa. To byli jakby nadbarmani, ludzie z powołaniem, bo gdyby było inaczej, nie potrafiliby ze zwykłego baru uczynić miejsca wyjątkowego, do którego się szło, brnęło, przepychało, o które się walczyło w kolejce przy drzwiach wejściowych, później na schodkach do baru, a już na koniec, w środku tej ciasnej kiszki – wręcz biło się o stołek.

Wysoki stołek, który od razu dawał inne samopoczucie, no i dostęp do wodopojui.

Po co się idzie do knajpy? Żeby i samemu trochę pobylszczeć w iluminacjach, odbiciach lustrzanych, światłach. Tajemnica barmanów jest umiejętnością dawkania łask, wyróżnień, a nawet zwykłych zauważeń. Ktoś dostrzeżony przez barmana, nazwany imieniem, czuł się nie tylko wyróżniony, to była nobilitacja. Człowiek uległ jakiejś paranoicznej konwencji.

– Panie Marceczku – mówił nad głowami pan Edward – dla pana to co zwykłe?

I Marceczek przestawał być bezimienny, potencjalny noblista

piej będzie, jeśli weźmiemy sekundantów. Marek przepędził wiernych darmożądów i powiedział, że załatwimy to bez świadków.

Zaczął się. Dokładnie o północy.

Marek chodził wtedy w ogromnym, chłopsko-szoferskim kożuchu – noszono wtedy takie dla szpanu – położył go na krawędzi chodnika, ja zaś swój kurtko-kożuch rzuciłem z drugiej strony Rynku.

Zbliżyliśmy się do siebie powoli, krokiem zapewne trochę filmowym, ale bójka miała być prawdziwa. On szedł od strony „Krokodyla”, ja – „Manekina”. Rzeczywiście było nas tylko dwóch, pustka wielokrotniała echo kroków. W połowie Rynku stanęliśmy, przyjeźliśmy postawy bokserkie. Patrzyliśmy na siebie.

Wtedy zaproponowałem, że może lepiej będzie, jeśli zrezygnujemy z walki. Że to nie ma sensu. Ale ponieważ on rzecz rozpoczął, musiałem powiedzieć:

– Wygram z tobą. To pewne.

Marek popatrzył na mnie ostrzej i nagle powiedział:

– Pójdziemy się napić. Tylko we dwóch. Przepędzę tamtych. Przepędził. Poszliśmy do „Krokodyla” i rozmawialiśmy długo. A później dorozłąk mego imiennika, pana Romana, który zawsze czekał na Marka pod nocnymi knajpami, pojechalśmy do „Bristolu”. A jak było w „Bristolu”? O tym za chwilę. Ale było inaczej. Poważniej. Coś chcieliśmy sobie nieumiejętnie powiedzieć. Przekazać. Jak to po wódce.

Teraz rocznicowcy zastanawiają się, czy Hłasko, gdyby żył, zostałby alkoholem czy opowiadaczem swojej historii, czy mógłby jeszcze pisać i czyby uył.

Kto go ocenia? Na pewno mniej od Marka zdolni. I brzydsi.

Wszystkie stoliki w „Bristolu” były zajęte, ale kelnerzy, widząc Marka, rzucili się w jego stronę jak opętani. Był to widok nieprawdopodobny, scena jakby surrealistyczna, oszalała, ludzie w białych kiltach mknęli w stronę drzwi, pod którymi staliśmy, jak opilki przyciągane magnesem.

Pierwszy dopadł do nas młody kelner niosąc nad sobą stółik i wołając, że ustawi go w swoim rewirze. Jeszcze nie oglądałem podobnego widowiska, choć przecież do „Bristolu” przychodzi-

ła magnateria badylarska, pierwszy też raz widziałem zakłopotanie i speszenie kelnera po otrzymaniu napiwku.

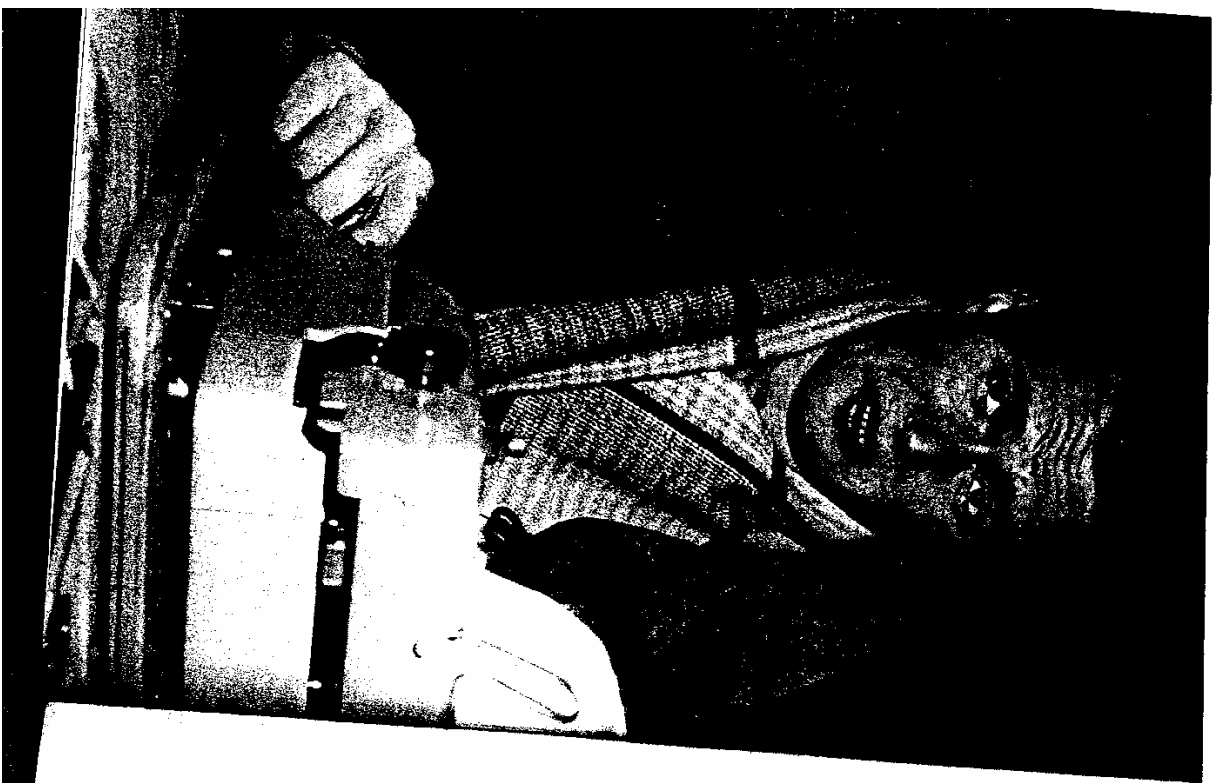
– Za dużo, panie Marku, nie trzeba tyle – marmotał zaczerwieniony młody kelner, pospiesznie chwytając pieniądze za pazuchę.

Stałem obok Marka, kelner spojrzął w moją stronę i popukał się w czoło. Pewnie gest ten miał ukryć zakłopotanie, ale z pewnością – powiedziałem.

– Oddaj, jak ci się nie podoba – powiedziałem. Hłasko był lubiany. Zanim go poznałem, pisałem o nim, stawałem w jego obronie. Miał coś w sobie, lubił, żeby ludzie go lubili. Starał się o to i robił to z wdziękiem, bez mizdrzenia się. No, i facet z węzłem w kieszeni tyłu ludzi by nie oczarował. Nie uwiodł.

Marek Hłasko.
Próba upodobnienia się
do pijaka. Nieudana.
I zbędna.





Marek Hlasko.
Niewątpliwie oprócz
Hlaski ważna jest
maszyna do pisania.
Więc pisarz.
Zapewnian, że ten
epymas czy wyraz
twaczy Marek jest
przeważający.
A może pojawił się
sam. Atrybut czasem
nie wieża, jakie
możliwości w nich
drzemną. Niekiedy
niechby drzemany;

śleć i pisać. Pisałem, kiedy Hlasko był jeszcze w Polsce – że jest najlepszy z pokolenia. Potwierdziłem to i później, uznając publicznie w okrojonej przez cenzurę wypowiedzi jego prawo do opuszczenia kraju.

No, i przyszedł do klubu „Manekin” w piwnicy na Starym Mieście. Na Ryńku. W nocy. Odczony słychyymi dziewczynami i młodymi chłopakami, którym imponował. Tułnek wlebił się w adoracji, uwielbieniu, jakby trochę rażącym, słuchającym. Zachwył dziewczyną był uzasadniony, Hlasko był chłopakiem wyjątkowo ładnym. Faceci przyciągali słowa i pieniądze, szastał forsy i rozrzutnością wprawiał w zakłopotanie nawet kelnerów.

Rozmawialiśmy z Markiem, piłiśmy, ale obydwaj byliśmy uszywnieni. W końcu padło to zdanie, dla którego, jak się później okazało, Marek ruszył. Zapytał, czy dobrze się bije. Tak! Już Hlasko był i taki chyba pozostał do końca. Następnie padła propozycja, która mnie zaskoczyła. Nie zdobałbym się na taką, wydawała się za szczerą, teatralną i niezasadzoną. Świadcząca jednak o odwadze tego chłopaka, o chęci sprawdzenia się w sztucznej, teatrycznej sytuacji. Chociaż całe wydarzenie było przeciecz szczerze, teatrykowo-kinowe.

Chciał zdobywać, potwierdzać coś, co wymyślił i co może było mu potrzebne. Hlasko powiedział, że chce się ze mną bić i czy mogę z nim wyjść na Rynek Starego Miasta. Mogłem. Słyszałem, że kierowca, człowiek z bazy, który podjechał podobno pod wydawnictwo „Iskry” ciężarówką. Przywiózł do druku opowiadania.

Świata Markowa chciała wziąć udział w gromadnym sprawnieniu miłania, jak i w oglądaniu widoku. Rwali się do nie istniejącego przeciwnika i wywalali się rozochoceni na Rynek. Byli arogancy i niemili i należałoby ich nastaszyć. Ale powie-działem do Marka, że nie chcę ogólnej biatyjki i le-

Roman ŚLIWONIK

Marek Hłasko

PIERWSZE WESTERNOWE SPOTKANIE.
POTRZEBA ROZMOWY. GWIAZDOR.
I ZNÓW LOKALE I POWRÓT DO DOMÓW PRZEZ
NOCNE MIASTO Z DOROŻKĄ W TLE

Poznaliśmy się jak na westernie. Nie mogło być inaczej. Marek Hłasko chciał każdemu zdarzeniu nadać inny wymiar, smak. Nie wiem, czy w młodości wszyscy jesteśmy kreacjonistami. Marek był. Lubił sprawy udziwniać, przydawać im dramaturgii. U mnie z kolei dramaturgia jawiła się sama, musiałem ją raczej wyciszać w sobie i dookoła.

Byłem szczupły, nosiłem ciemne okulary i wydawałem się idealnym obiektem dla każdego, kto chciał się wykazać siłą, męžnością, szczególnie w środowiskach, gdzie ostrość imponowała. Powiedział mi o tym nie tak dawno mądry kierownik „Kameralnej”.

Marek Hłasko został właśnie laureatem wielkiej nagrody Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek i zrobił się wokół niego potężny rozgłos. Miał dwadzieścia cztery lata, ja byłem już wtedy zastępcą redaktora naczelnego „Współczesności”, zostałem nim w wieku dwudziestu sześciu lat, byłem poetą jeszcze bez książki, ale w środowisku już czytany i bardziej znanym z publicystyki ostrej niż z osiągnięć literackich.

Takiego faceta Marek musiał poznać. Ciekawość, niecierpliwość młodości wygrała z pozą chłodno przyglądającego się życiu polskiego Jamesa Deana. Marek był bardzo podobny do aktora.

Był wspaniałym chłopakiem – piękny dwudziestoletni – i jednym z najbardziej utalentowanych pisarzy w ogóle. W Polsce. Rówieśnicy nie mogli tej prawdy z siebie wykrztusić. Na tle socrealizmu pisarskiego proza Marka była inna, lśniła, uwodziła zapisem i treścią. Była to proza trochę amerykańska, ale wielkie talenty też muszą się u kogoś uczyć. Hłasko umiał my-

przeważnie stali się trójmiejscową nie-
cej lat. Eńczy ich siatka przy-
jaźni i nienawiści była dla nas
żymś obcym. Dłaznili też ludzie
z przypadku na różnych odpowie-
działnych stanowiskach.

Część polonii w Los Angeles nie
doceniała że ma między sobą wiel-
kiego pisarza. Jak to często bywa
na emigracji, wiele osób mniej lub
więcej wpływowych ma zaścianko-
we poglądy. Nie ma tam tolerancji
dla artystycznych ekstrawagancji i
dziwactw silnych indywidualności.
Miano np. Markowi, bardzo na
serio, za złe że na jakimś przyjęciu
chciał usiąść kółko pewnej pani. Po-
wótryłem to oskarżenie Markowi i
bardzo się zmieszał. Byłem, mówił,
z Irlandką, która nie rozumiała sło-
wa po polsku. Chciałem więc kolo
niej siedzieć.

Wokół Marka wytworzyła się le-
genda. Może trochę podobna do le-
gendy Przybyszewskiego. Słyszeli o
nim różni ludzie, nieraz nie mający
nic wspólnego z literaturą. Marek
tłumaczył to utożsamianiem go z
bohaterami jego utworów. Żył na to.

Jeszcze w r. 1959, gdy byłem
w Manili, podsunęto mi amerykań-
skie pismo, bodajże „Time”, zawie-
rające notatkę że Marek po otrzy-
maniu honorarium za książkę poje-
chał do Monte Carlo, gdzie pienia-
dze w ciągu jednej nocy przepuścił.
Spytałem się go o to.

Marek dowiedział się o tej po-
głosce z gazety. Oburzył się i zde-
terwował. Co jego matka o tym
owie? Poszedł na skargę do wy-

Juliusza Słowackiego,
Cypriana Norwida,
Juliana Tuwima,
Stanisława Baliń-
skiego, Ryszarda Kiers-
zo, Aleksandra Janty,

lon W.C.1

tego przed wyjazdem z Ameryki
miało miejsce zastanawiające
wydarzenie. Marek umówił się ze
swoim starym przyjacielem z Pa-
ryża, malarzem Witkiem K. (o jego
portrecie Marek mówił że mu naj-
bardziej odpowiada), który przyjechał
wtedy z Nowego Jorku.

Pojechali gdzieś nad Pacyfik i
jedli obiad. Mówił Marek: „Witek
trzymał w ręku szklanę. Patrzy-
łem na jego piękną, pociągłą twarz.
Nagle ogarnęło mnie uczucie że
widzę go ostatni raz. W tym mo-
mencie Witek spojrział na mnie i po-
wiedział: „O tym tylko wóć Bóg”.

A LONELY TABLE

„A lonely table just for one (Sa-
motny stół dla jednej osoby)” —
tymi słowami zaczyna się piosenka
„The Way it Used to Be” śpiewana
przez Engelberta Humperdincka.
Działała ona silnie na Marka. Sły-
sząc ją pogrążył się we wspomnie-
nia, o które nie śmiałem go py-
tać. Drugim podobnie nań wpływa-
jącym przebojem był „The Shadow
of Your Smile” śpiewany przez tego
samego piosenkarza.

A lonely table — może samot-
ność była jednym z kluczy do zro-
zumienia Marka? Miał wielu przy-
jaciół. Nawet tu — w Los Angeles.
Czuł się jednak samotny. Może —
zagubiony.

Pewnie brakowało mu warszaw-
skiej atmosfery. Tradycyjnego pol-
skiego szacunku dla twórczości pi-
sarskiej. Dręczyło go poczucie mar-
nowanego czasu. Bo takim czasem
jest dla pisarza ten oddany na za-
robkowanie dla utrzymania się przy
życiu, a nie poświęcony twórczości.

Twierdził jednak że pobyt za gra-
nicą wpłynął na niego dobrze jako
na pisarza. Zobaczył, jak różni są
ludzie w obcych krajach.

Śmierć jego spadła na nas ze
straszną nieoczekiwanością. Trud-
no było ją zaakceptować. Tak nie-
dawno toczyliśmy długie rozmowy.
Nie przypuszczałem że nabiorą aż
tak prędko wartości kronikarskie.

Widzę go ciągle, jak stojąc przy
oknie cicho gwarzy z dr. Zimme-
rem, którego trudną książkę o Ka-
sproviezu przeczytał z przyjemno-
ścią. Gdy stoi przy tym samym oknie,
z „szatańskim”, jakby powiedział,
uśmiechem, czekając aż wyjeżdżający
samochód stuknie jego grata. Widzę
jego twarz, gdy słucha nastawionej
na jego prośbę płyty „The Way it
Used to Be”.

Zmarł tragicznie. Samotny, często
nie rozumiany. Otaczający go mur
starał się przebić swym piarstwem.
Twórczość jego pozostanie tylko w
literaturze polskiej.

Zginął jednak nie tylko wielki
pisarz, lecz miły chłopiec, trochę
zagubiony w otaczającym go świe-
cie. Brak nam go.

Leszek Szymański.

warstw i klas społecznych, które pro-
dukują Walka z dawnymi forma-
mi, systemami i strukturami spo-
łecznego życia, to etapy wyzwala-
nia form krepujących rozwój me-
tod społecznego gospodarowania. Ła-
manie tych form jest tym bardziej
konieczne, im szybciej zachodzą
zmiany w podstawach ekonomicz-
nych. Rozumowanie Bięnkowskiego
jest tu nienaganne. Co prawda za-
strzeżenie że aparat przymusu długo
jeszcze będzie odgrywał ważną rolę,
lecz nie bierzemy mu tego za złe, gdyż
wiemy że proces wietrzenia państwa
trwać będzie bardzo długo nawet w
warunkach gospodarki socjalistycznej
i że prawdopodobnie nigdy nie do-
biegnie końca. Uczyniwszy powyż-
sze zastrzeżenie, ostrzeżenie Bięnkowski
że odrzucenie prawdziwej, tj. we-
wnętrznej dyscypliny na rzecz przy-
musu zewnętrznego pociąga za
sobą dezorganizację i demoralizację,
zwłaszcza w społeczeństwie takim
jak polskie, wychowanym w tradycji
samobrony i oporu przed wszyst-
kimi formami despotycznymi. Ina-
czej mówiąc, „porządek musi być”,
lecz droga do tego celu musi być in-
na niż w policyjnych systemach kon-
troli, ograniczeń i ucisku.

Przechodzimy do programu i po-
stulatów. Są i w tym zakresie miej-
sca znakomite, jak np. postulat swo-
body badań naukowych i głoszenia
poglądów nie tylko w dziedzinie
 nauk przyrodniczo-technicznych, ale
i humanistyczno-społecznych. Adam
Schaff w książce pod tytułem „Fi-
lozofia człowieka” (r. 1962) domagał
się wyłączenia dziedzin posiadają-
cych bezpośredni związek z polityką
i mogących oddziaływać na społec-
zeństwo i jego rozwój spod swo-
body dyskusji i zderzania się róż-
nych poglądów. Bięnkowski nato-
miast dowodzi że nauki przyrodni-
czo-techniczne i humanistyczno-spo-
łeczne zawsze w dziejach rozwijały
się równolegle i równolegle ulegały
zahamowaniom; tym bardziej w o-
becnej burzliwej fazie pełne wyko-
rzystanie współczesnych osiągnięć
techniki jest niemożliwe bez rozwi-
niętych nauk społecznych. Dowodzi
dalej że nie ma takich cech roz-
poznawczych, które pozwolilyby od-
razu segregować twierdzenia nauko-
we na prawdziwe i fałszywe, pozy-
teczne i szkodliwe. Wreszcie dowodzi
że sam sztyld marksizmu-leninizmu
i ustroju socjalistycznego nie zapew-
nia jeszcze słuszności ani teorii, ani
praktyce. Złote słowa. Arcyśluszne
jest twierdzenie że „gdzie nie ma in-
formacji dla mas, tam nie ma ich i
dla rządzących, tam na miejsce zna-
jomości faktów, warunków, nastro-
jów podstawia się fikcje i fikcje

*) „Zaczarowane kolo” stanowi do-
kończenie szkicu Adama Ciołkosza o
książce Władysława Bięnkowskiego
„Motory i hamulce socjalizmu”. Por.
poprzednie części w nr. nr. 1251/1252
i 1253 „Wiadomości”.

prawda, ale...
partii nie zdobył się
tody, to skądże pewno
prawdopodobieństwo
zdobędzie się na nowe
przecież nie w r. 197
Bięnkowski żali się na
urząd refleksji społecz-
nej”. Ex nihilo nihil. I
trzeba szukać poza rzą-
dpartią.

I wreszcie korona
„Bynajmniej nie o-
idzie — lecz o zastą-
narzucanych i kontrol-
wnątrż więzami narzu-
sana funkcjonalny mec-
sada słuszną, pisałem
poprzednio, lecz o co
krotnie? Bięnkowski i
konkretny — do pewny
mokraja to dla niego
leczna nad władzą, dys-
starożytności niezastą-
pomysłem formą kont-
dzą są wybory. Dosi-
załem Bięnkowski prop-
przymiotnikowe, a
czteroprzymiotnikowe
mowe? Daleko mu do
on zasadę wybieralno-
kich szczegółach aparatu
wszystkich dziedzinac-
lecznego, nawet spośród
przedstawionych (czy-
nych) przez partię. P-
„kandydatów, do który-
nie, zostawiając wybór
społeczeństwu” — tak
wyborach styczejnowych
retencyjnie, nie powinno
objekcji przeciwko tak
dzie wybieralności, lecz
— wciąż wedle Bięńk-
wobec nieufności wład-
czeństwa i lęku, aby li-
czeni przez partię do
funkcji partyjnych, par-
również społecznych nie
poprzez mechanizm wy-
wpływ mas społeczeń-
wanie takie okazuje
I w ogóle, w systemach
nych „zmieniła się fu-
rów — wybory przeksi-
stały w manifestację i
władzy, jej program i
manifestacji tej nie lic-
liczy się natomiast, je-
uprawnionych stanął do
Zasada ta rozciągnięta
wszystkie dziedziny społ-
cia — wyboru kandydat-
odpowiednie instancje pe-
leczeństwo idąc do urn wy-
tacje tych wyborów”.

Czy wyraża? Co do
miejsca, są wątpliwości.
stwo po prostu ma do
do głosowania albo nie
sowania, to drugie jest a
odwagi cywilnej. Lecz sa-
chanizmu wyborczego je-
kowskiego trafny i traf-
definicja: wybory bez w-
ci. Bięnkowski widzi co i

197
69
H04
Lk
Hlasko
Marko
IATKA

dnia 31 lipca 1969 r

Hlasko
70

Drogi, Kochany Panie!

Niech Pana nie dziwi mój sposób zwracania się do Pana. Z Pana listu widzę, że przyjaźnił się Pan z Markiem; wiem, że Pan z Nim ostatnio pracował, że był Panu bliski. Jest Pan tym samym bliski dla mnie. Dziękuję Panu z serca za list i za wszystkie w nim zawarte wiadomości. Śmierć Marka osamotniła mnie w sposób absolutny. Był moim jedynym Dzieckiem. Był wszystkim dla mnie. Jego śmierć nigdy nie pogodzi mnie z życiem. Wszystko stało się obojętne i obce, wszystko stało się inne: dom, sprzęty, przedmioty lubiane kiedyś, wszystko w jakiś magiczny sposób wiązało się z Nim, z myślą o Jego powrocie, z myślą o tym, jak Jemu się podoba, co On na to powie, Mój Synuś Najdroższy. I pomyśleć, że granicą tej "inności" stał się Dzień Śmierci Mego Dziecka. Tak, nie istnieje słowo "zawsze", ale istnieje słowo "nigdy".

Dziś więc garnę się do ludzi, którzy Mu okazywali przyjaźń. Ich dobre słowa o Nim stanowią balsam dla mojego zrozpaczonego serca. I w imię tej przyjaźni - proszę, błagam, aby Pan wraz z innymi Jego przyjaciółmi zechciał w każdy dostępny Panu sposób bronić spuścizny literackiej Marka. Na spuściznę tę czyha rozwiedziona żona Marka, Sonja, a czyni to nie ze względów uczuciowych, a ze względów ambicjonalnych i merkantylnych, o czym niestety miałam możliwość przekonać się będąc na pogrzebie Marka. Narobiłam głupstw, dzięki nieświadomości. Wiedziałam, że są rozwiędzeni, ale przecież różnie w życiu bywa. Odegrała swoją wielką rolę "Frau Hlasko - wdowa" - genialnie. Gdyby nie Marka przyjaciele i ludzie bliscy stała by się rzecz nieodwołalna: Sonia otrzymała by prawo dysponowania spuścizną literacką po Marku. Dziś wycofałam się ze wszystkich wobec niej zobowiązań. Sprawę oficjalnie prowadzą adwokaci polscy i niemieccy. Z jej strony - przypuszczam - że nic nie grozi, ale trzeba trzymać rękę na pulsie, ponieważ ten "anioł opiekuńczy" Marka okazał się potworem b. szybkim w działaniu. Podobno w jej interesie działa tam adw. Kapłon. Sonji zależy na tym, żeby zniszczyć wszystko, co świadczyło by o tym, że już dawno nie jest "Frau Hlasko". Ona nadal chce w tej roli występować. Mój adwokat Wacław Klein z Warszawy, ul. Wspólna 63-b m.15, wystąpił z listem adwokackim

marek hlasko institute

2000 Allston Way, Box 932, Berkeley, California 94701

Berkeley, Aug. 18, 1981

M. HLASKO

Drogi Panie Leszku,

Dziękuję za Panski list. Dzięki niemu stał mi się Pan bardzo bliski, tak bliski, że wychodzę z propozycją przejścia na Ty. Wydaje mi się, że mamy ze sobą wiele wspólnego, i że musimy się poznać, a gdy się poznamy, na pewno będziemy się lubić. Obawiam się tylko, że przeceniasz mnie troszeczkę i boje się, że możesz się bardzo rozczarować. Wszystko zależy od tego, czy znasz życie, jak Marek by to zapewne powiedział.


Właściwie miałem okazję, by pojechać do LA w ub. tyg., bo jedna moja znajoma jechała do Phoenix, AZ. W ost. chwili zrezygnowałem, bo mam kupe roboty na głowie. Chciałem po prostu skorzystać z jej nieobecności, by podgonić robotę. Twój list dostarcza mi o wiele więcej do myślenia, niż mogłobyś kiedykolwiek przypuszczać. Widzę z niego, że jesteś w tej samej sytuacji, co ja: szycasz roboty w szkolnictwie, a teaching job. Ciekaw jestem jak Twoje doświadczenia w tej dziedzinie wyglądają.

Bardzo się dziwię, że był czas, gdy nikt nie chciał o Marku słyszeć. Nawet Giedroyc? Nota bene czytałem Twój "Samotny Stoł" i i podobał mi się bardzo. To było chyba najlepsze, co o Marku ktokolwiek napisał. Pamiętam, że gdy przeczytałem Twój szkic, zacząłem chodzić po sklepach z płytami myślac, że może gdzieś jeszcze znajdzie te piosenki. Niestety, nikt nic nie kojarzył na dźwięk tego tytułu. To jeszcze jedna smutna sprawa, że Marek Niżinski zabił się także. Nie wiem dlaczego, ale czułem, że to się z nim stało, gdy przeczytałem w "Wiadomościach" ten jego artykuł zatytułowany: "Codziennie siejcie ryż". To był jakoby tytuł ostatniej, niedokonczonyj powieści Marka Hlaski. Czy to była powieść o człowieku, któremu dano możność odtworzyć swoje życie, nie wiem. Wydaje mi się, że nie. Pisano o niej jednak w "Wiadomościach". Była to mała notka, nie podająca tytułu tej powieści. Czyżby te powieści zagarnęła niejaką Sylvia? Kim była Sylvia? Czy była ona dziewczyna filozofa Skolimowskiego?

Dziękuję za gratulacje z powodu zrobienia przeze mnie tej bibliografii żydostwa polskiego. Muszę Ci powiedzieć, że generalna bibliografia żydowska robiliśmy razem z prof. Lerskim, ale doszło do rozdzwieków i zgodziłem się, żeby dokończył ją sam z moim nazwiskiem jako współautora. Ja natomiast zdecydowałem się wydać sam Bibliography of Polish Jewish Bibliographies w moim wydawnictwie. Dzisiaj jednak rozmawiałem z facetem, który mi odradził tego robić. On jest zdania, że powinienem skorzystać z okazji, że mam taka praca w ręku i wydać to w jakimś wielkim domu wydawniczym. Uznałem, że to święta racja i zaraz zacząłem kontaktować się z kim potrzeba.

Jest jeszcze tyle tematów, które chciałbym z Tobą obgadać, ale niestety muszę lecieć. Czy może Ty dałbyś się zaprosić do San Francisco? Szyję w takim przypadku lokalem, jakkolwiek bytuje nad wyraz skromnie, co do czego ostrzegam z góry. Wcześniej czy później coś się musi stać. Załączam do listu szkic na temat Marka Hlaski piora Romana Virskiego.

Mocny uścisk dłoni,



AW

Listwin
Mydło
Sombat
Zwierz
Książka

Drogi Panie Marku!

Co się z Panem dzieje! Już od paru tygodni staramy się z Panem skontaktować - lecz bez rezultatu. Czy Pan nas unika?

Najpilniejsza sprawa to sprawa pożyczki, która została Panu przyznana. Niech się Pan ponownie zgłosi.

Druga sprawa - to sprawa dalszej pracy nad zaczątą powieścią. Pierwszą część Leszek już skończył i chciałby przedyskutować dalszy jej ciąg.

Czy mógłby Pan zatelefonować do nas w piątek wieczorem po godzinie 7⁰⁰, lub w sobotę wczesnym rano? Na wszelki wypadek przypominam numer naszego telefonu 483-5851.

Szczerze Panu oddani,

Marzec 27, 1969

Chyba
Dariusz Zawadzki
more Kóris
P. Krawczyk
L. S.

White vs Markats
1959
Cincinnati
A. C. L. S.

Warszawa, dnia 18 kwietnia 1970 r.

Szanowny i Drogi Panie!

Otrzymałam dziś list z Londynu od p. Michała Chmielowca, z którego wynika, że należne Panu honorarium za wspomnienie o moim Najdroższym Synku ceduje Pan na mnie. Jestem bardzo zażenowana i wzruszona. Dziękuję. Proszę nie mieć mi za złe, że tak przerwałam korespondencję z Panem, ze Stanami w ogóle, ale niczego drogą korespondencyjną nie mogę osiągnąć, wszystko jest tak skomplikowane i tak trudne do załatwienia dla mnie na taką odległość, że postanowiłam sama wybrać się do Stanów, już otrzymałam zaproszenie i już poczyniłam pierwsze kroki. Jeżeli mi się uda, jeśli nie będzie jakichś specjalnych przeszkód - to mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy. Co prawda to względne pojęcie "niedługo", bo sprawa w każdym razie potrwa jeszcze 2-3 miesiące, ale w tej chwili mam promesę wizy amerykańskiej i złożony do Narodowego Banku Polskiego wniosek o zezwolenie na opłacenie podróży morskiej w złotówkach. Nie wybieram się samolotem, bo Marek na mnie nie czeka, ale bardzo chcę być tam, gdzie On był i wszystkie Jego sprawy możliwie najlepiej załatwić. Bardzo się będę cieszyła z poznania Pana i Jego Żony, bo bliscy mi są wszyscy, którzy byli bliscy Markowi. Nie wiem, czy Panu wiadomo, że umarł Syn Sonji. Moja sprawa z nią ciągle niezakończona, mimo to do niej napisałam, ale ze zgrozą dowiedziałam się, że w związku ze śmiercią Syna uruchomiła całą machinę reklamową. A więc kamery, zdjęcia, artykuły, fotografie it.p. Straszne, potworne. Myśleć o tym, kiedy na zawsze odchodzi od nas Najdroższa Istota. Nie pojmuję. Proszę, niech Pan pozdrowi odemnie p. Ossetyńskiego. Napisał do mnie kilka takich dobrych, serdecznych słów na Święta. Nie odpisałam.

Niech Pan przyjmie odemnie mnóstwo serdeczności

Helena Anielska

Wskazano mi adres prof.dr.Mroczkowskiego, który wykłada na Yale University i który podobno przyjaźnił się z Markiem i który wyraził podobno gotowość zajęcia się tą sprawą. Mój adwokat napisał również do niego. Czekamy na odpowiedź.

Ja, po przyjeździe z Wiesbaden, z pogrzebu, znalazłam alarmujący list od p.Ossetyńskiego, za co Mu jestem b.wdzięczna, z którego wynikało, że p.Watras beztrąsko zupełnie podeszła do spuścizny po Marku. Natychmiast, w nocy 29.VI.br. depeszowałam do niej w następujący sposób: "Jako jedyna spadkobierczyni Marka, proszę o niewydawanie nikomu jego rzeczy, a zwłaszcza rękopisów".

To, co p.Watras zrobiła, jest dla mnie zupełnie niepojęte. Była u mnie w domu w Warszawie z p.Ossetyńskim, wiedziała, że jest matką Marka, napewno wiedziała, że Marek jest rozwiedziony i nie uważała za stosowne porozumieć się ze mną.

Proszę Pana o pomoc, zanim konkretnie zdecyduje się, co komu należy przekazać. Wydaje mi się, że należało by Jego rzeczy osobiste oddzielić od wszelkich rękopisów, maszynopisów, notatek it.p. i wysłać paczką na mój adres. Kto mógł by to zrobić? Może koszty wysyłki pokrył by ktoś, kto ma rodzinę w Polsce, a ja bym wszystko zwróciła. To nie było by kosztowne. W wypadku, gdyby udało się dostać zaświadczenie, że te rzeczy po Zmarłym Synu odsyłane są matce - koszty były by minimalne. Chyba Pan rozumie, że nie o wartość tych rzeczy chodzi, ale o to, że należały one do Niego. Nie mogę pogodzić się z myślą, że tyle obcych, obojętnych rąk dotykało, przewracało tę Jego chudobę. A ja jestem tak daleko i taką bezsilna! Proszę niech Pan o tym pomyśli.

Marek, jak Pań zapewne wie, był wieloletnim klientem, autorem f-my Kiepenheuer i Witsch - Köln. Znam w szczególności tę sprawę. Opiekowali się Nim po ojcowsku, zwłaszcza zmarły właściciel p.Wit. Uważam za słuszne, aby rękopisy i rzeczy niewydane ile takie są trafiły do tej firmy. Co do notatek, zapisków it.p., które mogły by posłużyć jakimś historykowi literatury - sprawę pozostawiam otwartą. Muszą zdecydować mądrzejsi odemnie. Firma K. i Witsch - to kupcy, nie sądzę, aby od tej strony interesowała ich twórczość Marka.

Ja wiem, że to dużo, o co Pana proszę. Ale może przy pomocy innej Przyjaciół mego Dziecka uda się Panu zabezpieczyć spuściznę po Ni. To wszystko, co mi pozostało. Kto to jest ten animowy Amerykanin? Jakim prawem miał wgląd do rzeczy Matka?

Jestem b.udręczona tym wszystkim. Mam dużo formalności do załatwienia. Noszę dziś inne nazwisko, musi być przeprowadzone postępowanie spadkowe. Nie nastęcza to żadnych trudności, ale na wszystko są odpowiednie terminy. W każdym razie rzeczy osobiste 9 zaznaczą - bez rękopisów, maszynopisów it.p. można przekazać. Może Pa wskazać drogę jak mogłabym uregulować powstałe koszty.

Proszę niech mi Pan daruje tę długą epistolę i te prośby, którymi Pana obarczam. Chciałabym coś zrobić, działać, aby niczego co mi po Nim zostało nie uronić. Może Pan treścią tego listu podzieli się z p.Ossetyńskim. Zostawiam to do Pana uznania.

Bardzo będę się cieszyła, jeśli zechce Pan do mnie napisać. Panu raz jeszcze serdecznie dziękuje i pozwalam sobie pozdrowić serdecznie Żonę Pana i Pana

Anna Maria Kiepenheuer

442 Marka
Hlasko
IATKA

1 69 404 47

dnia 31 lipca 1969 r

HLASKO
442

Drogi, Kochany Panie!

Niech Pana nie dziwi mój sposób zwracania się do Pana. Z Pana listu widzę, że przyjaźnił się Pan z Markiem; wiem, że Pan z Nim ostatnio pracował, że był Panu bliski. Jest Pan tym samym bliski dla mnie. Dziękuję Panu z serca za list i za wszystkie w nim zawarte wiadomości. Śmierć Marka osamotniła mnie w sposób absolutny. Był moim jedynym Dzieckiem. Był wszystkim dla mnie. Jego śmierć nigdy nie pogodził mnie z życiem. Wszystko stało się obojętne i obce, wszystko stało się inne: dom, sprzęty, przedmioty lubiane kiedyś, wszystko w jakiś magiczny sposób wiązało się z Nim, z myślą o Jego powrocie, z myślą o tym, jak Jemu się podoba, co On na to powie, Mój Synuś Najdroższy. I pomyśleć, że granicą tej "inności" stał się Dzień Śmierci Mego Dziecka. Tak, nie istnieje słowo "zawsze", ale istnieje słowo "nigdy".

Dziś więc garnę się do ludzi, którzy Mu okazali przyjaźń. Ich dobre słowa o Nim stanowią balsam dla mojego zrozpaczonego serca. I w imię tej przyjaźni - proszę, błagam, aby Pan wraz z innymi Jego przyjaciółmi zechciał w każdy dostępny Panu sposób bronić spuścizny literackiej Marka. Na spuściznę tę czyniła rozwiedziona żona Marka, Sonja, a czyni to nie ze względów uczuciowych, a ze względów ambicjonalnych i merkantylnych, o czym niestety miałam możliwość przekonać się będąc na pogrzebie Marka. Narobiłam głupstw, dzięki nieświadomości. Wiedziałam, że są rozwiedzeni, ale przecież różnie w życiu bywa. Odegrała swoją wielką rolę "Frau Hlasko - wdowa" - genialnie. Gdyby nie Marka przyjaciele i ludzie bliscy stała by się rzecz nieodwołalna: Sonia otrzymała by prawo dysponowania spuścizną literacką po Marku. Dziś wycofałam się ze wszystkich wobec niej zobowiązań. Sprawę oficjalnie prowadzą adwokaci polscy i niemieccy. Z jej strony - przypuszczam - że nic nie grozi, ale trzeba trzymać rękę na pulsie, ponieważ ten "anioł opiekuńczy" Marka okazał się potworem b.szybkim w działaniu. Podobno w jej interesie działa tam adw.Kaplon. Sonji zależy na tym, żeby zniszczyć wszystko, co świadczyło by o tym, że już dawno nie jest "Frau Hlasko". Ona nadal chce w tej roli występować. Mój adwokat Wacław Klein z Warszawy, ul.Wspólna 63-b m.15, wystąpił z listem adwokackim

Wskazano mi adres prof.dr.Mroczkowskiego, który wykłada na Yale University i który podobno przyjaźnił się z Markiem i który wyraził podobno gotowość zajęcia się tą sprawą. Mój adwokat napisał również do niego. Czekamy na odpowiedź.

Ja, po przyjeździe z Wiesbaden, z pogrzebu, znalazłam alarmujący list od p.Ossetyńskiego, za co Mu jestem b.wdzięczna, z którego wynikało, że p.Watras beztrąsko zupełnie podeszła do spuścizny po Marku. Natychmiast, w nocy 29.VI.br. depeszowałam do niej w następujący sposób: "Jako jedyna spadkobierczyni Marka, proszę o niewydawanie nikomu jego rzeczy, a zwłaszcza rękopisów".

To, co p.Watras zrobiła, jest dla mnie zupełnie niepojęte. Była u mnie w domu w Warszawie z p.Ossetyńskim, wiedziała, że jest matką Marka, napewno wiedziała, że Marek jest rozwiedziony i nie uważała za stosowne porozumieć się ze mną.

Proszę Pana o pomoc, zanim konkretnie zdecyduje się, co komu należy przekazać. Wydaje mi się, że należało by Jego rzeczy osobiste oddzielić od wszelkich rękopisów, maszynopisów, notatek it.p. i wysłać paczką na mój adres. Kto mógł by to zrobić? Może koszty wysyłki pokrył by ktoś, kto ma rodzinę w Polsce, a ja bym wszystko zwróciła. To nie było by kosztowne. W wypadku, gdyby udało się dostać zaświadczenie, że te rzeczy po Zmarłym Synu odsyłane są matce - koszty były by minimalne. Chyba Pan rozumie, że nie o wartość tych rzeczy chodzi, ale o to, że należały one do Niego. Nie mogę pogodzić się z myślą, że tyle obcych, obojętnych rąk dotykało, przewracało tę Jego chudobę. A ja jestem tak daleko i taką bezsilna! Proszę niech Pan o tym pomyśli.

Marek, jak Pan zapewne wie, był wieloletnim klientem, autorem f-my Kiepenheuer i Witsch - Köln. Znam w szczególności tę sprawę. Opiekowali się Nim po ojcowsku, zwłaszcza zmarły właściciel p.Wit Uważam za słuszne, aby rękopisy i rzeczy niewydane ile takie się trafiły do tej firmy. Co do notatek, zapisków it.p., które mogły by posłużyć jakiemuś historykowi literatury - sprawę pozostawiam otwartą. Muszą zdecydować mądrzejsi odemnie. Firma K. i Witsch - to kupcy, nie sądzę, aby od tej strony interesowała ich twórczość Marka.

Ja wiem, że to dużo, o co Pana proszę. Ale może przy pomocy inny Przyjaciół mego Dziecka uda się Panu zabezpieczyć spuściznę po Ni To wszystko, co mi pozostało. Kto to jest ten animowy Amerykanin? Jakim prawem miał wgląd do rzeczy Matka?

Jestem b.udręczona tym wszystkim. Mam dużo formalności do załatwienia. Noszę dziś inne nazwisko, musi być przeprowadzone postępowanie spadkowe. Nie nastrecza to żadnych trudności, ale na wszystko są odpowiednie terminy. W każdym razie rzeczy osobiste 9 zaznaczą - bez rękopisów, maszynopisów it.p. można przekazać. Może Pa wskaże drogę jak mogłabym uregulować powstałe koszty.

Proszę niech mi Pan daruje tę długą epistołę i te prośby, którymi Pana obarczam. Chciałabym coś zrobić, działać, aby niczego co mi po Nim zostało nie uronić. Może Pan treścią tego listu podzieli się z p.Ossetyńskim. Zostawiam to do Pana uznania.

Bardzo będę się cieszyła, jeśli zechce Pan do mnie napisać. Panu raz jeszcze serdecznie dziękuje i pozwalam sobie pozdrowić serdecznie Żonę Pana i Pana


Anna Maria Kiepenheuer

M. WLASKO

AFTER FIVE DAYS RETURN TO

W. WLASKO
1223 N. Dainsettia Pl.
Hollywood 90046
ZIP CODE

LOS ANGELES
PM
1989

U.S. POSTAGE
6c

FRANKLIN D. ROOSEVELT

→

am wistrem
jepp u alter ego
gruba powiesc.
L.S.

M.V.
L. Szymoniski
426 S. Union Drive
Los Angeles



Pr.

MAVEK HTASKO

Story —

Wybory z ministka na trych supranalich
deryphnie. Nuss. Pasdora ten.

Wale: Sam opasny; Mury 12-
Uci: do krowdy — on form
aktudy; usag mi plawie.

4-18-69

knys

antelmic list
Jufce 11 Berlin
wrebe Prialim
U.S.A. "rise natpny"
wstaly do "Solis K (nie)"
prowo do "Solis K (nie)"
belimyl
we profet
Dy-el

Tak sie
uwata
powiesc

¹⁵ the book will be a bestseller, ⁵⁰ something like Lord Russell is much the better. I for one would be very glad."

"And what do you want in return?"

Smithson smiled and reached into his pocket. Suddenly his face became angry.

"Merde! Excuse me, I forgot I quit ~~the~~ ^{FOR} smoking. As ~~about~~ your question. You'll try to ^{trace} ~~find~~ the man responsible for those murders. You see, I don't think they were suicides. And I would not count too much on the Russians being mixed ^{UP} ~~in~~ ^{it} No, ~~rather~~ rather one of those Jewish organizations, Eichmann stuff, you know."

"~~But~~ why ^(I should) [?] succeed? What are my qualifications? No, I don't think I should get mixed ^{UP} ~~in~~ that cloak and dagger stuff. It's not my cup of tea."

"Just try? You speak German like a native. You have already a lot of contacts in ~~the~~ literary and artistic circles. ~~My~~ My guess is that the next victim will be Mayer. He is ~~just~~ in the right age group. He is a very popular writer. And ~~there were some~~ ^{say} gossips he was a Nazi. He fits the picture."

"And if they are Nazis what's your interest?"

Smithson shrugged.

"We ~~just~~ like to know what is going on. Besides, we are not certain that ~~they~~ ^{all of them} were Nazis. We just suspect that could be the reason. And it's our business to be informed. You know Mayer?"

"Yes."

"Good. There will ~~be~~ ^{be} shortly a nativity play in Hochberg. Mayer will be there. and your presence there will be perfectly natural. You just keep a sharp ^{eye on everything.} ~~eye~~ ^{eye around}."

"I still ~~have~~ ^{have} not accepted the job."

"You should. I have read quite a few of your things besides those ~~articles~~ ^{ARTICLES}. You deserve a break. It was a pleasure ^{READ YOUR WORK} in

CHAPTER IV

They walked leisurely down the Elysian Fields and Smithson talked slowly with frequent breaks and looking around. So far he had kept the conversation to trivialities and O'Connor started to feel impatient. He had met Smithson during his first days in Paris. They were introduced to each other at a reception in the U.S. Embassy and since then had bumped into each other occasionally at places frequented by the Americans in Paris.

O'Connor knew that Smithson occupied some position in a commercial department and liked to help struggling artists.

"Your articles on war crimes were very good," said Smithson. "You have done it very objectively, and yet with passion and feeling. But I was surprised that it was reprinted in so many papers, for nowadays stuff of this kind is not often getting in the big papers. Your work had soecufucally literary and philosophical undertones."

"I became personally interested in those matters. Maybe it helped."

Smithson said nothing and waited till a young couple moved out of earshot, then suddenly asked,

"What do you think about Lavaire's suicide?"

"Probably he could not stand the strain of work. He was performing almost every day. He was teaching free in the school.

M. Hlesko
L. Supinski

really believed that it was of no consequence whether those people died a few minutes earlier or later."

"Then explain it to those men who hired you!" shouted the Tragedian.

"I will. I promise you. And anyway nobody but us will know the reason for your death. This is guaranteed."

"My death?"

"Certainly yours," said Anderson softly. "After all of two of us you are the one who will poison the people awaiting... How do you call it in French?"

"Call what?"

"The place they were driven to be done with."

"Gas chamber?"

"That's the word," said Anderson gladly. "Is my French very bad?"

The Tragedian cried sharply and suddenly. Anderson ~~was~~ lifted swiftly the camera and peeped through the visier.

"Which button, please?"

"The left one," said the Tragedian laughing and sobbing.

Anderson quickly moved to the middle of the room and there filmed the Tragedian who wept quietly ~~with his hands covering his face~~ his hands covering his face. After a while he took his hands off and looked up. Anderson moved to him and filmed the close up. The Tragedian did not pay any attention to him. He seemed now to be resigned and calm.

"Well, why don't you shoot me?" he asked.

"But why should I shoot you?" exclaimed Anderson with a surprise.

"I have never killed anybody in my life. I mean directly. Besides it ~~would~~ will be useless."

"Will you let me go?"

"I don't stop you. You are free to live this place any moment. It is unimaginable that I should kill you."